Kamena

LUBLIN 14.II.1971 Nr 4 (463) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 2 ZŁ

W NUMERZE:

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI
Dziury w aparacie

Rzeczywistość wyższych uczelni (2)

Jan Popek, „Canon na orkiestrę symfoniczną i taśmę magnetofonową wg K. Pendereckiego", tempera, 1970. Fot. J. Huzar (CAF)

Recenzję ze styczniowej wystawy malarstwa J. Popka w lubelskim BWA zamieszczamy na str. 7 wraz z jego zdjęciem.

Dyskutujemy odważnie i rozważnie

Z JEDNEJ GLINY

Marek Adam Jaworski

NA wstępie odnotuję zdania, które wyłowiłem z komentarza wydrukowanego na łamach jednego z dzienników:

„Gdyby jakiemuś cudzoziemcowi przypadło oceniać funkcjonowanie systemu demokracji socjalistycznej w naszym kraju na podstawie li tylko studiowania podstawowych dokumentów państwowych: konstytucji, ustaw o zakresie uprawnień rad narodowych, związków zawodowych, samorządu robotniczego itp. doszedłby on z pewnością — bez konfrontacji z praktyką — do bardzo optymistycznej konkluzji. Do tej mianowicie, że zarówno władze jak i społeczeństwo powinni z siebie być jak najbardziej zadowoleni.

Nikt z nas, żyjących w tym kraju, takich euforycznych ocen i wniosków nie formułuje. Zwłaszcza dzisiaj. Mieliśmy wiele zasadniczych uwag do metod i stylu pracy politycznej w partii i w organach władzy jak też do treści ich działalności, zwłaszcza na styku: władza — obywatel. Rzecz jednak w tym, że wypowiadaliśmy te krytyczne odczucia półgębkiem, a jeżeli nawet głośno — to najczęściej nie trafiały one do właściwego adresata. Dopiero niedawno miała odwagę powiedzieć tę gorzką prawdę klasa robotnicza i jej partia, zarówno na VII Plenum KC, jak też w wielu publicznych wystąpieniach jej nowych przywódców."

Gorzką prawdę... Z komentarzy „Trybuny Ludu" pióra red. Józefa Bareckiego wyłuskuję głosy robotników, którzy przemawiali w czasie pamiętnych spotkań z Edwardem Gierkiem i Piotrem Jaroszewiczem w Szczecinie i w Gdańsku.

...Dla poparcia towarzysza Gierka — to w Szczecinie — gotowi jesteśmy zrobić jeden statek dodatkowo, ale obawiamy się, że przy takiej organizacji pracy, jaka jest w naszej stoczni, nie zdążymy na czas...

...Nawet jeśli pokonamy kłopoty z organizacją pracy, to i tak ten statek do towarzysza Gierka nie dotrze, bo go administracja rozdzieli między siebie na premie...

...Organizacje partyjne omawiały sprawy produkcyjne, a zapominały o zwykłym człowieku, który je wykonywał...

...Wielu członków partii nie przejawia inicjatywy, są bierni. Przez nich rodzi się dystans między partią i społeczeństwem...

...Wielu z nich (członków partii) jest od posiedzeń, a nie od dawania przykładu, jak pracować...

Dokończenie na str. 2

Przed VI Kongresem Techników Polskich

Poprawki do wniosków

Jerzy Dostatni

MIJA właśnie 60 lat od chwili, gdy w Lublinie powstała pierwsza organizacja techniczna. Ale ówczesne Towarzystwo Techniczne liczyło zaledwie 38 członków. Tuż przed wybuchem ostatniej wojny zorganizowało się Stowarzyszenie Techników Województwa Lubelskiego, ale i wtedy lista członków nie objęła więcej niż 100 osób. Nie byli to, oczywiście, wszyscy ludzie z odpowiednimi dyplomami, działający na Lubelszczyźnie, a chociażby i w samym Lublinie — ale zarówno pierwszy jak i drugi przykład świadczy wymownie, jak bardzo ubogie było nasze województwo w kadrę techniczną. Zresztą i w produkcji przemysłowej nie odgrywaliśmy prawie żadnej roli. Jeżeli cokolwiek w skali krajowej się liczyło, to tylko Podlaska Wytwórnia Samolotów oraz fabryki wag i maszyn rolniczych. Zresztą prawdę powiedziawszy, nie tyle ilością, co jakością wyrobów, zwłaszcza jeżeli chodzi o samoloty konstrukcji Puławskiego, lublinianina z urodzenia. Dopiero widmo grożącej krajowi napaści hitlerowskich Niemiec spowodowało, że pewna suma z zaciągniętej we Francji pożyczki została przeznaczona na budowę kilku obiektów zbrojeniowych w tej części województwa, która znalazła się w Centralnym Okręgu Przemysłowym. Ale żaden z tych obiektów do tragicznego Września nie został wykończony, a w konsekwencji i kadra techniczna nie została wzmocniona.

Dziś sytuacja zmieniła się radykalnie. Przede wszystkim dzięki własnym uczelniom doszliśmy do tego, że licząc ludzi z wyższym wykształceniem w stosunku do ogółu zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej, mamy wskaźnik lepszy niż przeciętny krajowy. Jeżeli chodzi o kadrę techniczną sytuacja jest gorsza. Ale tu możemy podziękować sami sobie, bo przecież przez ładnych parę lat nie docenialiśmy istniejącej jakby na marginesie naszych potrzeb ówczesnej Wieczoro-

Dokończenie na str. 6—7

„Szkoda, że pan nie z filmu..."

Pejzaż z refleksjami

Mirosław Derecki

SZUKAM wzrokiem miejsca, w którym kiedyś mieszkał K. Z tego wzgórza mam przed sobą jak na dłoni cały Józefów, Józefów koło Biłgoraja, „ordynackim" dawniej zwany. Osada leży w dolinie. Wokoło pagórkowaty, przysypany teraz śniegiem, krajobraz Roztocza.

Aż po linię horyzontu lasy, zagajniki, samotne świerki na wzgórzach. Za moimi plecami zwarty masyw Puszczy Solskiej.

Sygnaturka wydzwania południe. W oknie kościelnej wieży kołysze się rytmicznie kawałek spiżu.

Na lewo od kościoła — plac Strażacki, potem plac Wyzwolenia, potem długa ulica Kościuszki... Gdzieś przy tej ulicy powinien znajdować się niewielki drewniany dom, w którym, w dwóch pokojach z kuchnią, K. postanowił sobie uwić gniazdo rodzinne. Uciekał od gwaru wojewódzkiej „metropolii", od borykania się z trudami, jakie niesie artyście życie w wielkim mieście. Ciągnął ze sobą na prowincję żonę i dziecko, wierzył, że tutaj znajdzie warunki do tworzenia, do malowania.

Jego pomysł wydał nam się wówczas równie surrealistyczny jak surrealistyczne były jego obrazy. Nie rozumieliśmy, że ten wyjazd stanowił jakąś prawidłowość...

Młody historyk sztuki, członek grupy plastycznej, która akurat atakowała i podbijała Warszawę, autor interesujących opowiadań literackich, jeden z czołowych przedstawicieli cyganerii lubelskiej, właściciel wiecznie rozwichrzonej brody, wielki orginał.

Wśród najbliższych znajomych krążyły niesamowite i... niesprawdzone wieści o jego metodach nauczania w szkole w jednej z podlubelskich wsi, w której K. pracował wówczas „dla chleba" jako... katecheta. Osoby „dobrze poinformowane" przysięgały, że na przykład jeżeli uczeń nie potrafił odpowiedzieć, kim był Eliasz, mógł się jeszcze uratować odpowiadając na pytanie uzupełniające — kto to

Dokończenie na str. 4—5

PIWNICA

Romuald Wiśniewski

STANISŁAW Tychmanowicz stał nad trzema zmarłymi i nie bardzo wiedział, co powinien dalej czynić. Właściwie rola jego była skończona, należało tylko poczekać na przedstawicieli prawa. Ale pierwszy raz znalazł się w takiej sytuacji i czuł, że trzeba jeszcze coś zrobić, na świeżo ustalać, jak to się stało.

Wypadek zapowiadał się zwyczajnie. O godzinie 20 w dyżurce Pogotowia Ratunkowego w Łukowie zadźwięczał telefon. Bolesław Czyżo, rolnik ze wsi Poznań, zawiadamiał, że czterech ciężko zatrutych potrzebuje natychmiastowej pomocy. Słyszalność była słaba. W pogotowiu spytali raz jeszcze, ilu? Czterech, tak — czterech, powtórzył. Pewnie nieostrożne obchodzenie się z chemikaliami rolniczymi, pomyślał wtedy doktor Tychmanowicz. Dziś zdarza się to dość często.

Z Łukowa do Poznania jest niecałe 42 km. Do Serokomli droga dobra, jedynie dalej 4 km rozjeżdżonym, piaszczystym gościńcem. W niedzielę, 13 grudnia, nie było jeszcze śniegu, nawierzchnia wprawdzie mokra, lecz o tej porze ruch kołowy niewielki. W trzy kwadranse karetka pogotowia dojechała na miejsce. W zagrodzie Teodora Cienkusa, na błotnistym podwórzu leżały równo obok siebie trzy snopki słomy, a na nich trzech mężczyzn, bez butów i z gołymi głowami, w porozpinanej odzieży. Obok stłoczyło się kilkudziesięciu mieszkańców wsi, dorosłych i dzieci. Reflektory karetki oświetliły podwórze.

Rzut oka wystarczył do stwierdzenia, że ci trzej już nie żyją. Badanie wykazało to samo. Sinica, brak tętna i oznak pracy serca. Lekarz przystąpił do ratowania pierwszego leżącego z brzegu mężczyzny. Najpierw sztuczne oddychanie metodą usta-usta. Miał całkowitą pewność co do bezowocności swoich wysiłków. Podjął je nawet nie dla spokoju sumienia, a dla tych ludzi stojących obok i oczekujących od niego jakiegoś działania. Pokonując opór wewnętrzny, wiedział, że przykłada swe wargi do warg zmarłego i wtłacza powietrze ze swych płuc do płuc zmarłego. Obiekt jego zabiegów przy wydechu wydzielał śluz z ust — oznaka obrzęku płuc. Po kilku minutach ktoś krzyknął, że drugi z zatrutych poruszył się. Jakiś mężczyzna zastąpił doktora w kontynuowaniu sztucznego oddychania, a on sam zajął się drugą ofiarą. Z tym samym skutkiem. Po 20 minutach przyjechała milicja z odległego o kilkanaście kilometrów

Ciąg dalszy na str. 6—7

teatrnn.pl

Kultura 1971

Literatura

* Na apel Światowej Rady Pokoju obchodzone będą w tym roku następujące rocznice: 27 marca — 100 rocznica urodzin pisarza niemieckiego Henryka Manna, 6 lipca — 100 rocznica śmierci poety brazylijskiego Antonio de Castro Alvesa, 27 sierpnia — 100 rocznica urodzin pisarza amerykańskiego Teodora Dreisera, 30 października — 150 rocznica urodzin pisarza rosyjskiego Fiodora Dostojewskiego, 24 listopada — 150 rocznica urodzin Cypriana Kamila Norwida, 10 grudnia — 150 rocznica urodzin poety rosyjskiego Mikołaja Niekrasowa. Ponadto: 21 maja — 500 rocznica urodzin malarza niemieckiego Albrechta Duerera, 27 grudnia — 400 rocznica niemieckiego astronoma i matematyka Johannesa Keplera.

* W Moskwie odbyło się doroczne spotkanie kierownictw związków pisarzy krajów socjalistycznych. Delegacji ZLP przewodniczył Jerzy Putrament.

* W roku ub. Agencja Autorska zawarła umowy na przekłady 121 pozycji dzieł polskich autorów. Na kraje socjalistyczne przypadają 104 umowy. Pierwsze miejsca zajmują: Stanisław Lem i Jerzy Putrament (po 4 umowy), następne: Jarosław Iwaszkiewicz i Maciej Słomczyński (po 3 umowy).

* Inżynier Jan Wawrzak jest dość niezwykłym literatem. Wydał dotychczas 6 książek — 4 powieści i 2 tomiki poezji, a równocześnie jest dyrektorem Państwowego Ośrodka Maszynowego. W tym roku wyjdą jego dwie nowe powieści oraz trzeci tomik poezji, a w tej chwili pisze powieść współczesną i marzy o sztuce teatralnej. A kierowany przez niego POM zdobył w roku ub. I miejsce w woj. łódzkim.

* I nakład książki L. Bartelskiego „Polscy pisarze współcześni" został już wyczerpany. Drugie wydanie w nakładzie 50 tys. egzemplarzy, poprawione i uzupełnione, ukaże się w przyszłym roku.

* W domu kultury Huty im. Lenina przez 8 dni odbywały się „Dni poezji" z udziałem artystów krakowskich, wrocławskich i warszawskich. W lutym odbędzie się „Dekada wieczorów ludowych".

* Na pytanie, co sądzi o młodej literaturze swego kraju, 63-letni Alberto Moravia odpowiedział: Jest to problem złożony i niepokojący. Niepokojący przez swą nieobecność. Nasza młodzież literacka pochłonięta została przez film.

Teatr

* Przed 15 laty powstała wrocławska Pantomima H. Tomaszewskiego, wystawiając spektakl według „Płaszcza" Gogola. Obecnie zespół przygotowuje „Sen nocy letniej" jako 60-minutowy spektakl.

* Oglądaliśmy niedawno w naszej telewizji „Profesję pani Warren" Shawa. Warto przypomnieć, że gdy w 1905 r. zagrano ją w Nowym Jorku, policja aresztowała aktorów, w 1925 roku zabroniono grania jej w Wielkiej Brytanii, ponieważ uznano sztukę za wysoce pornograficzną.

* Moskiewski Teatr Dramatu i Satyry na Tagance gra spektakl, który w programie nazwano „narodowym przedstawieniem w dwóch częściach z pantomimą, cyrkiem, bufonadą i strzelaniną, opartym na motywach książki J. Reeda — Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem". Bilety kupuje się 6 tygodni przed terminem.

* W Kairze powstał oryginalny „teatr pod otwartym niebem". Sceną jest chodnik uliczny, dekoracją — mury domów, rekwizytami — kilka krzeseł i stolik. Pierwszy spektakl odbył się na jednej z głównych ulic, grano 45-minutową sztukę „Rodzina Sabaui" o współczesnym tzw. szarym człowieku. „Chcemy, aby naszym widzem był zwykły przechodzień, który zatrzyma się aby obejrzeć sztukę" — mówi kierownik.

* Teatr w Duesseldorfie wystawił najnowszą sztukę Duerrenmatta „Portret planety", coś w rodzaju udramatyzowanego dekalogu wszystkich możliwych nieszczęść, nękających współczesny świat zachodni. Sztuka została źle przyjęta przez krytykę, autorowi przypisuje się zgorzknienie i czarnowidztwo oraz całkowitą utratę tak żywego przedtem, dobrodusznego humoru.

* Dramaturg murzyński w USA Ed Bullins, który pisał dotychczas wyłącznie dla teatrów murzyńskich, napisze serię 20 sztuk dla „białych" teatrów, ukazując życie Murzynów w USA.

* Głośna przed kilka laty śpiewaczka ciemnoskóra Eartha Kitt po raz pierwszy występuje jako aktorka, grając w komedii „Wysoka stawka" w jednym z teatrów londyńskich.

Sztuka

* Na mocy decyzji władz Zamek Królewski w Warszawie, poważnie zniszczony w 1939 roku, a całkowicie zburzony przez hitlerowców w 1944 r., zostanie odbudowany. Szczegóły są w opracowaniu.

* Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne, znane pod skrótem WAG, w ciągu 20 lat istnienia wydało prawie 20 tys. tytułów w nakładzie 1 800 mln egzemplarzy.

* WAG w Katowicach ogłosiła ogólnopolski konkurs na plakat, poświęcony 50 rocznicy III Powstania Śląskiego.

* Muzeum Świętokrzyskie w Kielcach przenosi się ze starej siedziby do odbudowanego zabytkowego Pałacu Kielckiego.

* Leningradzkie wydawnictwo „Chudożnik RSFRR" wyda album „Piastyk Borys Szaliapin". Borys jest synem słynnego śpiewaka Fiodora Szaliapina, mieszka w USA, ale wciąż uważa się za malarza rosyjskiego i dość często przyjeżdża do ZSRR.

* Dziennik włoski „Corriere della Sera" zamieścił list otwarty do ministra, domagający się reorganizacji uczelni artystycznych, a także ograniczenia liczby studentów. Jest ich 18 tysięcy, a wielu z nich z braku zajęcia co roku schodzi na margines życia.

* Frekwencja w muzeach francuskich w roku ub. wyniosła 5 mln osób, z czego połowa to zwiedzający muzea, w których nie pobiera się opłat.

Muzyka

* W roku ub. sprzedano w kraju 8 mln płyt z muzyką. W roku bież. na płytach zostanie utrwalonych 70 godzin muzyki. M. in. zostaną „odnowione" nagrania Paderewskiego (30-lecie śmierci), Ewy Bandrowskiej-Turskiej, Ignacego Dygasa, Enrico Caruso, chóru Dana.

* W dniach od 10 do 16 września odbędzie się VII Bydgoski Festiwal Muzyczny. Tym razem będzie on poświęcony muzyce polskiej i francuskiej od średniowiecza po czasy najnowsze.

* Na 15-lecie swego istnienia Teatr Muzyczny Opery i Operetki w Bydgoszczy wystawił „Czarodziejski flet" Mozarta.

* Wojciech Kilar skomponował już muzykę do 60 filmów. Ostatnio zabrał się do komponowania opery, mając dobre — jak twierdzi — libretto.

* Działająca w Nowym Jorku fundacja im. Alfreda Jurzykowskiego przyznała tegoroczną nagrodę w dziedzinie muzyki Tadeuszowi Baird'owi.

* „Złap moją duszę" to rock-and-rollowy musical, który jest przeróbką szekspirowskiego „Otelia". Grają to w Londynie, opinie są bardzo podzielone. Następna przeróbka „Antoniusza i Kleopatry" ma nosić tytuł „Złap moją żmiję".

Film

* W londyńskim National Film Theatre odbył się retrospektywny przegląd filmów Andrzeja Wajdy.

* W ubiegłej pięciolatce w ZSRR powstało 756 pełnometrażowych filmów fabularnych, dokumentalnych i popularnonaukowych oraz 5677 krótkometrażowych. ZSRR posiada światowy rekord frekwencji w kinach — każdy mieszkaniec miasta ogląda w roku 21 filmów, wsi — 17.

* Fellini po kilkakrotnej zmianie projektów nakręca „Miasto" według własnych wspomnień z młodości.

* W roku ub. w kinach amerykańskich było 2,2 mld widzów — mniej niż połowa tego, co zanotowano w roku 1939.

* W jednym z kin w Amsterdamie wyświetlono jednocześnie na trzech ekranach trzy nieme filmy pornograficzne. Prawie wszyscy widzowie wyszli z nudów przed zakończeniem seansu.

* „Babcia o najpiękniejszych nogach" czyli Marlena Dietrich zostanie wkrótce „prababcią o najpiękniejszych nogach". Jej wnuczka spodziewa się dziecka.

Różne

* W Szczecinie ukazał się nowy miesięcznik społeczno-kulturalny „Spojrzenia". Redaktorem naczelnym jest Stefan Januszewicz.

* Na Twerskim Bulwarze w Moskwie buduje się nowy gmach dla teatru „MCHAT", założonego jeszcze przez Stanisławskiego, a prowadzonego teraz przez Olega Jefremowa. Sala pomieści 2 tys. widzów.

* W Demokratycznej Republice Wietnamu uruchomiono pierwszą stację telewizyjną, wyposażoną w polską aparaturę nadawczą.

* Ceny biletów do teatrów na Broadwayu w Nowym Jorku wynoszą na parterze 10—15 dolarów, stąd liczba widzów maleje. Aby zdobyć widzów z przedmieść i ludzi starszych, przedstawienia będą zaczynały się o godz. 19.30, godzinę wcześniej niż dotychczas.

* Dwaj dawni członkowie zespołu The Beatles, niewątpliwie zdolni kompozytorzy — John Lennon i Paul McCartney — toczą batalię w sądzie, oskarżając się wzajemnie o rozbicie zespołu.

* Z okazji 80-lecia urodzin Agatha Christie otrzymała tytuł „Dame", a już poprzednio jako żona Sir Mallowana mogła używać tytułu „Lady". Jej sztuka „Pułapka na myszy" jest grana w Londynie już kilkanaście lat, wciąż przy nadkompletach. Po jej napisaniu autorka przelała prawa autorskie w prezencie imieninowym na rzecz swego siostrzeńca, który teraz jest bogatym człowiekiem, czego ciotka zapewne nie przewidywała.

Nie lubię mówić o sobie, wolę, aby ludzie oglądali mnie na ekranie — twierdzi Julie Ogier, bohaterka „Szalonej miłości".

Z JEDNEJ GLINY

Dokończenie ze str. 1

...My nie chcemy tych ludzi, którzy wydeptali jednokierunkową ścieżkę i spodnie sparciały im od posiedzeń...

...Chcemy mieć pewność, że jak pójdziemy do KM czy do KW, do naszych władz nadrzędnych, to zostaniemy wysłuchani...

...Bez kolektywu, bez klasy robotniczej nie można decydować...

...Dyrektorskie biurko nie jest miejscem do prowadzenia dialogu z klasą robotniczą...

...Nasze zebrania partyjne często ograniczały się do wysłuchania tego, co odczytał sekretarz, ale mało było takich, którzy wypowiadali własne zdanie...

Padały słowa ostre, ale szczere. I sekretarzowi KC i premierowi nie kadzono. Gorycz, która na tych spotkaniach tak wyraźnie dała się odczuć, była skierowana pod adresem innych ludzi. Tu jednak nie chodziło o konkretne osoby, ale o całą partię. Nawet nie o jej kształt wczorajszy, ale jutrzejszy. Jeśli zaś ta gorycz wypłynęła, to tylko po to, aby można budować po nowemu stosunki międzyludzkie, stosunki wewnątrzpartyjne. Aby zasypać przepaść między słowami a czynami.

Właśnie czynami nowe kierownictwo partyjne i administracyjne zdobywa sobie zaufanie klasy robotniczej. *Nie ma takich spraw między nami, Polakami* — mówił Edward Gierek w przemówieniu noworocznym — *których — zjednoczeni — nie moglibyśmy rozwiązać.*

Spotkania w Szczecinie i Gdańsku, które przekształciły się w kilkunastogodzinną rozmowę klasy robotniczej z kierownictwem, potwierdziły tę prawdę. Edward Gierek i Piotr Jaroszewicz bez osłonek przedstawili trudną sytuację naszego kraju, robotnicy ze swej strony wskazali na hamulce, które w ich konkretnych zakładach utrudniają realizację zadań gospodarczych.

I jeśli początkowo w czasie tych rozmów były dwie strony — oni, góra, i my, robotnicy — to później, w trakcie szczerej wymiany poglądów, pękły wszelkie bariery.

Możecie być przekonani — oświadczył I sekretarz KC w Gdańsku — *że my wszyscy jesteśmy ulepieni z tej samej gliny i nie mamy innego celu, jak ten, któryśmy zadeklarowali: rozwijać kraj, umacniać socjalizm, poprawiać warunki życia ludzi pracy. Jeśli nam pomożecie, to sądzę, że ten cel uda nam się wspólnie osiągnąć. No więc jak — pomożecie?*

W tym momencie — pisze sprawozdawca PAP — *rozległy się burzliwe oklaski.*

* * *

Do tragicznych wydarzeń grudniowych doszło w Gdańsku i w Szczecinie. Niech mi jednak będzie wolno wyrazić własne zdanie: nie wyciągajmy zbyt daleko idących wniosków z powodu tego, że w tym czasie na Lubelszczyźnie panował spokój. W błąd nie powinny nas też wprowadzić rezolucje podejmowane wówczas „spontanicznie" przez poszczególne fabryki, przedsiębiorstwa, instytucje. Sądzę, że treść niektórych rezolucji zawstydza dzisiaj ich autorów. Ale nie miałbym o to do nich pretensji. Zamiary były z pewnością szlachetne, obowiązywał jednak dawny styl, a winy za to, że ów styl nabrał mocy obowiązującej, nie ponosi przecież terenowe kierownictwo partyjne. Rezolucje podejmowało się nagminnie. Często w czyimś imieniu bez pytania zainteresowanych o zdanie.

W ubiegłym roku w 22 numerze „Kameny" (z datą 25 października) ukazał się artykuł Macieja Podgórskiego pt. „Płacić znaczy wychowywać". Sprawy, poruszone przez autora, wcale nie straciły na aktualności i dzisiaj. Myślę jednak, że gdyby Podgórski dopiero teraz nimi się zajął, znacznie ostrzejsze byłoby zakończenie artykułu. Przypomnę, że chodzi o konferencję samorządu robotniczego w lubelskiej FSC, na której według słów autora *może nieco za wiele było chęci podnoszenia istniejących dokonań, wielosłownego optymizmu, tak jakby przedstawiony program już został zrealizowany mocą samego swego istnienia. Nie jestem też przekonany, by każdy rodzaj szeroko pojętej działalności wychowawczej trzeba było z miejsca podpierać wielkimi słowami, by na przykład w kontekście organizacji turystyki i wypoczynku po pracy mówić zaraz o ideowej, politycznej roli tego rodzaju ludzkich zajęć.*

Tak — wielkie słowa lubiliśmy szczególnie. Referaty były wyważone, ażeby braki nie przesłaniały osiągnięć, nawet jeśli przedmiotem obrad miały być właśnie braki. Więc znów — styl. Dodam: styl, który już w zarodku tłumił możliwość krytyki. (Na szczęście — nie całkowicie). Utrudniało to dialog kierownictwa z klasą robotniczą, wytwarzało fałszywy obraz sytuacji. *Tyłek nam tłuszczem obrósł* — powiedział w Lublinie publicznie w czasie wydarzeń grudniowych pewien odpowiedzialny towarzysz nie zdając sobie może sprawy z tego, że trafił w dziesiątkę. Ale żeby to dostrzec — trzeba było przeżyć tragizm tych dni. — Tragizm i rozterkę...

Więc nie łudźmy się, że Lubelszczyzna jest enklawą spokoju, że tu — dają się słyszeć i takie głosy — niczego nie należy zmieniać. Owszem, zmieniać trzeba i należy, ale nie może to być polowanie na czarownice, przyklejanie etykietek. Nikt sam nie wskakuje na piedestał. Zwykle bywa przez pochlebców na piedestał wpychany. Rozejrzyjmy się po naszych zakładach pracy i uderzmy we własne piersi. Czy do „kultu" niektórych osób nie przyłożyliśmy własnej cegiełki?

Pisze do mnie ob. R. Z. z Chełma (dlaczego prosi o nie podawanie nazwiska?) w czambuł potępiając całe kierownictwo swego przedsiębiorstwa, nie zostawia też suchej nitki na kilku dyrektorach z innych zakładów. Może ma trochę racji, ale tak się składa, że jednego z wymienionych przez niego dyrektorów znam osobiście bardzo dobrze i na podstawie rozmów i z nim i z jego podwładnymi wyrobiłem sobie zdanie wręcz odwrotne. Nie mogę więc bezkrytycznie godzić się z całością postawionych zarzutów, zresztą bardzo słabo umotywowanych. No bo i jak to? Wszelkie zło to dyrektorzy? Absurd. Wpadanie z jednej skrajności w drugą.

Potrzebna nam jest krytyka. Potrzebna odwaga, ale i r o z w a g a. Nikomu nie wolno wylewać dziecka wraz z wodą po kąpieli, nikomu nie wolno strzelać na oślep.

Partia to nie tylko etatowi pracownicy aparatu, ale i aktyw partyjny, ale i tzw. bierni członkowie, którzy w prawdzie rzadko zabierają głos na zebraniach, dostarczają, za to może najwięcej dóbr produkcyjnych. Niekiedy odnoszę wrażenie, że bardzo zawężamy na co dzień pojęcie tzw. aktywu partyjnego. Pojęcie, jak i sam aktyw, czyli konkretnych ludzi. Ile jest narad, na których widzimy te same twarze? Są to przeważnie twarze dyrektorów, kierowników, sekretarzy różnego szczebla, personalnych itp. Twarzy robotników od produkcji widzi się niewiele. Jasne — oni muszą pracować na plan, na normę, a narady często odbywają się w godzinach pracy. Dyrektora można bez żenady przywołać zza biurka, z robotnikiem — już większy kłopot.

Skutek jest też taki, że aktywista staje się niejako... zawodowym aktywistą. Należy do iluś tam komisji, zespołów, nierzadko biegnie z jednego posiedzenia na drugie, instruuje, poucza, bądź jego poczają. *My nie chcemy tych, ludzi, którzy wydeptali jednokierunkową ścieżkę i spodnie sparciały im od posiedzeń* — mówili stoczniowcy i jak nie przyznać im racji?

I w tymże samym aspekcie można rozpatrywać pozornie skomplikowany, a w gruncie rzeczy prosty, kiedy postawi się kropkę nad „i", problem etatowych działaczy związków zawodowych, którzy w rubryce „zawód" mogliby z powodzeniem pisać „działacz związków zawodowych". Często różnych. Wczoraj — metalowców, a dziś — dajmy na to — przemysłu skórzanego. Może przyzwyczaili się oni do tego, że często przynoszono ich w teczkach. Dziś wielu z nich poczuje się skrzywdzonymi. I nie bez racji, zwłaszcza — gdy wracając do produkcji — zaczną start od zera.

A więc — jeszcze raz: styl...

I jednocześnie — wbrew temu stylowi — ogrom osiągnięć całego kraju w okresie powojennego 26-lecia. Jakże zmieniła się Ziemia Lubelska, jej przemysł, rolnictwo, miasta, wsie, miasteczka! Chcę uniknąć powtarzania rzeczy powszechnie znanych, a jednocześnie posądzenia o to, że ów styl, który krytykuję, tkwi też we mnie jako publicyście. Ale po co ma mnie ktoś posądzać! Sam się przyznam. Oczywiście, że tkwi i trudno mi się od niego wyzwolić tak nagle, bo zaprzeczyłbym sam sobie. Chociaż... zdekonspiruję się i pogrzebię „Jacka" z ostatniej strony „Kameny", który przez pięć lat służył mi jako tarcza do wypowiadania może niezbyt wszędzie popularnych i mile widzianych poglądów. Jacka — najpierw maturzystę, a potem wiecznego studenta (sam nie wiem, jakiego wydziału) można było traktować pobłażliwie. Czas jednak wystąpić z otwartą przyłbicą.

I tu — już niższym tonem — o Lublinie, własnym podwórku. W 2 n-rze tegorocznej „Kameny" Romuald Wiśniewski snuł swoje horoskopy na temat przyszłości naszego miasta. „Polityka" w swym przeglądzie prasy zwróciła uwagę na następujące słowa artykułu: *Dyskusje urbanistów, planistów, ekonomistów, socjologów i innych specjalistów odbywają się w Lublinie w wąskim kręgu. Do szerszego grona społeczeństwa docierają dopiero wtedy, gdy już w formie pewnych ustaleń wpływają na posiedzenia władz miejskich. Tym czasem wydaje mi się, że byłoby rzeczą pożyteczną, by już we wczesnych stadiach przedstawiano je opinii publicznej...*

Właśnie. Gdyby wcześniej przedstawiono je opinii publicznej, zapewne nie doszłoby do tak nieszczęśliwego usytuowania hotelu „Victoria" u zbiegu ul. Narutowicza z al. Świerczewskiego, restauracji „Astoria" — na rogu Krakowskiego Przedmieścia i ul. Lipowej. Bardzo jestem ciekaw, jak te skrzyżowania ulic będą wyglądać za lat kilka, gdy zaleje nas fala motoryzacji? Co będziemy wówczas burzyć? Sąsiednie kamienice?

A czy bardzo usprawnił się ruch kołowy na ul. Buczka po tzw. modernizacji skrzyżowania z ul. Armii Czerwonej? Wywaliliśmy ileś tam milionów złotych na inwestycję, która już dzisiaj nie zdaje w praktyce egzaminu. Za rok, dwa, w najlepszym wypadku — pięć znów będziemy przerabiać. Czy stać nas na to, by płacić dwukrotnie? Gdzie była Miejska Rada Narodowa, kiedy podejmowano decyzję? Czy w ogóle o tej decyzji wiedziała?

Nie umiem odpowiedzieć na te pytania, bo spotkania radnych z wyborcami stały się zwykłą formalnością. Sale świecą pustkami, a jeśli dyskusja jest to w jej świetle wychodzi bezradność wielu spośród tych, których na radnych wybraliśmy.

Zastanawiające — wymienialiśmy na ten temat poglądy z działaczami Frontu Jedności Narodu — że zwykle najlepiej udają się zebrania we wsiach — z radnymi do gromadzkich rad narodowych. Tam jest zażarta wymiana poglądów, tam padają słowa najbardziej ostre, najbardziej szczere. A więc, im bardziej w dół, tym otwarciej, bez owijania w bawełnę. Dlaczego? Można zaryzykować twierdzenie, że tam nie ma takich powiązań, jakie są w mieście. Ziemia obrodzi — będą pieniądze. Nikt nikogo nie pozbawi pracy, nie obetnie premii, nie obrazi się tak, że w efekcie pociągnie to za sobą materialne konsekwencje.

To najniższy szczebel spotkań. A jak wygląda szczebel najwyższy? Uczestniczyłem w kilku posiedzeniach Wojewódzkiej Rady Narodowej. Nie zdarzyło się — nie wiem, może tak właśnie trafiłem — aby ktokolwiek przeciw czemukolwiek zaoponował, miał odmienne zdanie od osoby wyżej postawionej w hierarchii służbowej. Taka jednomyślność niepokoi. Bo jednomyślność może oznaczać bezmyślność. Może oznaczać wygodnictwo. I coś jeszcze, czego nie nazwę po imieniu.

Na zakończenie chciałbym jeszcze wrócić do tego, co przewijało się w pierwszej części artykułu — pracy partyjnej. Ostatnio, już po VII Plenum KC, uczestniczyłem w posiedzeniach dwóch zespołów KW — do spraw kultury (którego jestem członkiem) i do spraw sportu i wypoczynku (może inaczej brzmi oficjalna nazwa, ale to nie ma znaczenia). 24 osoby przez dwie godziny radziły nad niezadowalającym zaopatrzeniem województwa lubelskiego w różnego rodzaju pamiątki regionalne. Do żadnych konkretnych wniosków komisje nie doszły, nikt z członków nie był kompetentny. W sumie — 24 osoby pomnóżmy przez dwie godziny — zmarnowano dwie doby! A cały problem leży w gestii dwóch wydziałów Wojewódzkiej Rady Narodowych, nad którymi pieczę sprawuje ten sam wiceprzewodniczący Prez. WRN.

Jaskrawy przykład niepotrzebnego dublowania pracy, nie jedyny zresztą, który trzeba uznać za relikt przeszłości.

Sądzę, że wszyscy musimy się zacząć uczyć pracować po nowemu, bez czekania na instrukcje. Wszyscy, bez wyjątku, od góry do dołu. Od dołu do góry. Krytyka, życzliwa krytyka, nigdzie, na żadnym szczeblu, nie może przekreślić człowieka. Z prawa do tej krytyki, która każdemu — też od góry do dołu i od dołu do góry — przysługuje i każdego dotyczy, trzeba korzystać rozważnie, z całą odpowiedzialnością za słowa mówione i pisane. Chodzi o dobro nas wszystkich, żyjących między Odrą a Bugiem, o dobro socjalizmu. Szczera, rozsądna wymiana poglądów tym celom służąca nigdy nie była tak potrzebna, jak jest potrzebna dzisiaj.

Dlatego otwieramy w „Kamenie" nową rubrykę. Dajemy jej tytuł: „Dyskutujemy z odwagą i rozwagą". Każdy głos, który może stać się pomocą dla nowego kierownictwa partii i rządu, dla władz terenowych zamieścimy i zatroszczymy się, by wywołał on odpowiedni oddźwięk.

Zapraszamy do współpracy czytelników — partyjnych i bezpartyjnych, robotników i chłopów, przedstawicieli inteligencji twórczej i technicznej, młodzież i dorosłych, mieszkańców miast i wsi. Czekamy na Wasze listy, propozycje, opinie.

Marek Adam Jaworski

Rzeczywistość wyższych uczelni (2)

Dziury w aparacie

Ireneusz J. Kamiński

Na Wydziale Mat.-Fiz.-Chem. UMCS — Fot. J. Urban

NAUKOWIEC, który nie dysponuje nowoczesną aparaturą badawczą, przypomina nieco daltonistę, ponieważ jego możliwości poruszania się po świecie współczesnej nauki są tak ograniczone, że czynią go w istocie bezradnym wobec bardziej złożonych, niejako wielobarwnych, problemów. Dotyczy to głównie dziedziny nauk przyrodniczych, lecz i humaniści coraz częściej odwołują się do pomocy maszyn matematycznych, ułatwiających i przyśpieszających pracę — choćby językoznawcom i historykom.

A wyposażenie naszych wyższych uczelni w podstawowe narzędzia skutecznego działania naukowego jest od wielu lat niezadowalające. W laboratoriach akademickich spotkać jeszcze można urządzenia z lat międzywojennych, i choć są to przypadki odosobnione, to w kontekście braku aparatury najwyższej klasy światowej zarysowują wagę problemu.

Owszem, doczekaliśmy się w kraju kilku świetnych konstrukcji przewyższających, zdaniem użytkowników, rozwiązania zagraniczne o podobnym przeznaczeniu. Mam na myśli zwierciadlany mikroskop elektronowy, umożliwiający obserwację obrazu elektrycznych i magnetycznych mikropól na powierzchni ciał stałych, półprzewodników i ferromagnetyków, a także spektromonitor typu ESM, zautomatyzowany spektometr moessbauerowski, synchroskop stroboskopowy i kilka innych jeszcze aparatów. Mimo że tempo rozwoju rodzimego przemysłu aparatury pomiarowej dwukrotnie przewyższa tempo rozwoju całego przemysłu ciężkiego, akutalna produkcja nie zaspokaja istniejących, bardzo poważnych i wciąż rosnących potrzeb. W szczególnie złej, jak wspomniałem, sytuacji znajdują się zakłady i laboratoria wyższych uczelni, przede wszystkim zaś uniwersytetów.

Prawda, w ciągu ostatnich kilkunastu lat w kraju nie żałowano środków finansowych na zakup aparatury naukowo-badawczej, jej ogólna wartość szacowana jest na ok. 8 mld zł. Tylko w latach 1956—1966 nakłady z budżetu państwa na aparaturę, urządzenia i maszyny wzrosły niemal 3,5 raza: ze 192 do 669 mln zł. Tendencja wzrostu tych nakładów ma charakter stały.

Odpowiednie nakłady resortowe na uczelnie lubelskie, poza Akademią Medyczną, wzrastały oczywiście także, w ciągu 21 lat istnienia Zarządu Inwestycji Szkół Wyższych przekraczając sumę 82 mln zł. W poszczególnych zaś pięciolatkach przedstawiały się następująco: w latach 1949—1955 wyniosły ponad 10 mln zł, co stanowiło 8,8 proc. ogólnych nakładów na wyższe uczelnie Lublina; w okresie 1956—1960 zbliżyły się do 13,5 mln zł; w pięcioleciu 1961—1965 osiągnęły niemal 17,5 mln zł. Ubiegły plan pięcioletni zaznaczył się wyjątkowo wysokim wzrostem nakładów, określonych kwotą 40 911 tys. zł; stanowiła ona 20,4 proc. całości wydatków na nasze uczelnie. Trzeba jednak zwrócić uwagę, że część tych środków przeznaczano również na zakup mebli i sprzętu gospodarczego.

Wymienione sumy nie kończą listy nakładów na aparaturę naukowo-badawczą, dodać do nich należy te, które były w dyspozycji poszczególnych uczelni. Żeby nie komplikować sprawy nadmiarem danych statystycznych, podam jedynie, że tylko w roku 1970 UMCS posiadał 11 200 tys. zł na odpowiednie zakupy; był to rok wyjątkowo, co prawda, korzystny pod tym względem, albowiem w poprzednim uczelnia dysponowała kwotą niewiele przekraczającą 6 mln zł.

Tak czy inaczej są to nakłady niemałe, choć na pewno dalekie jeszcze od wysokości, przy której sprawa wyposażenia szkolnictwa wyższego w aparaturę naukowo-badawczą przestałaby być problemem tak trudnym i pogmatwanym, jak nim jest jeszcze obecnie. Trudności te nie są jednak — należy to mocno podkreślić — wyłącznie funkcją takich a nie innych możliwości finansowych resortu szkolnictwa wyższego, uzależnionych w końcu od potencjału gospodarczego kraju. W poważnym, niektórzy twierdzą, że w decydującym stopniu wynikają one z wadliwej organizacji krajowego rynku aparatury naukowej, ze złego gospodarowania funduszami, przeznaczonymi na wiadome cele, z istnienia przeróżnych barier biurokratycznych, hamujących nieraz właściwy rozwój badań naukowych na uczelniach.

Przemysł krajowy oferuje aparaturę lżejszą, prawdę mówiąc niemal wyłącznie taką. Jak wspomniałem, charakteryzuje się ona nierzadko wysokim standardem, nie ustępującym osiągnięciom wysoko rozwiniętych krajów świata. Mamy bardzo dobre wagi analityczne, świetne mikroskopy biologiczne, przewyższające nawet zeissowskie. Urządzenia do badań izotopowych, produkowane przez Zjednoczone Zakłady Urządzeń Jądrowych „Polon", także reprezentują wysoki poziom, podobnie jak ostatnie opracowania „Elpo" w zakresie elektronicznych urządzeń pomiarowych.

Większość tych dobrych aparatów i urządzeń eksportujemy, co przynosi oczywiste korzyści. Niestety, na rynku krajowym pojawia się ich niewspółmiernie mało w stosunku do potrzeb, oczekiwanie na niezbyt nawet skomplikowany przyrząd, jakim jest waga analityczna, zamówiona przez uczelnię, przedłuża się i do 2 lat.

Ponadto z rewelacyjnymi często rozwiązaniami projektowymi nie idzie w parze wykonawstwo aparatów, które naukowcy określają krótko jako fatalne. Stąd nieufność do urządzeń produkcji krajowej, mająca bardzo konkretne następstwa. Potrzeba szkolenia pracowników dla tych gałęzi przemysłu, które zajmują się produkcją aparatury naukowej, zdaje się nie podlegać dyskusji. Chodzi tu głównie o takich fachowców, jak mechanicy precyzyjni, których aktualne umiejętności pozostawiają sporo do życzenia.

Sporo trudności przysparza też sekcjom uczelni do spraw aparatury naukowej nierytmiczne zaopatrywanie rynku. W pierwszej połowie roku za byle drobiazgiem, potrzebnym jednak do pracy naukowej, trzeba tłuc się po całej Polsce, nie będąc przy tym pewnym „sukcesu".

Przede wszystkim jednak chodziłoby o usprawnienie informacji o możliwościach zakupów, w tej chwili właściwie nie istniejącej, przynajmniej na poziomie kraju, który wkroczył na drogę gospodarki intensywnej i postępu naukowo-technicznego. Uczelnie nie wiedzą, gdzie można kupić określone urządzenie, za jaką sumę, czy potrzebny właśnie typ aparatury jest w ogóle dostępny. Katalogi i cenniki poszczególnych central handlowych pochodzą sprzed 2, a nawet 5 lat, na wielu, otrzymanych przez uczelnię, widnieje adnotacja „Do zwrotu!". Inżynierowie do spraw aparatury marnują wiele czasu na wyjazdy rozpoznawcze, licząc najbardziej na osobiste kontakty i znajomości.

Tempo dostaw urządzeń również zależy od osobistych „chodów", wahając się przy tym od kilkunastu miesięcy do trzech lat. Stawia to pod znakiem zapytania racjonalność planowania badań choćby na dwa lata naprzód.

Usprawnienie organizacji zaopatrzenia uczelni w aparaturę krajową to główna droga — zdaniem wielu naukowców — do poprawy sytuacji w tej dziedzinie. Powtarza się opinia, że zwiększanie nakładów finansowych na te cele nigdy nie będzie owocowało w oczekiwany sposób, jeśli nie rozwiąże się tej pierwszej kwestii.

Aparaturę cięższą trzeba jednak importować z krajów socjalistycznych i kapitalistycznych, co wiąże się z możliwościami dewizowymi, raczej ograniczonymi. A są to urządzenia bardzo kosztowne, dość powiedzieć, że japoński mikroskop elektronowy kosztuje 40 tys. dolarów. Zrozumiałe więc, że import, przede wszystkim ze strefy dolarowej, jest dość skromny. Bez względu jednak na jego rozmiary, rzuca się w oczy nieproporcjonalny podział materialnego dobra, które przynosi. Zdecydowane preferowanie placówek Polskiej Akademii Nauk jest chyba w pełni uzasadnione, budzi przecież pewne wątpliwości spychanie wyższych uczelni na szary koniec, jako że nie są one w stanie bezpośrednio wypracować sobie puli dewizowej. Wyposażenie aparaturowe uczelni w stosunku do tego, czym dysponują placówki badawcze przemysłów: maszynowego, chemicznego, węglowego czy energetycznego, zamożnych działów gospodarki narodowej, jest doprawdy niewystarczające.

Skomplikowane gospodarzenie środkami dewizowymi i ich ograniczone przydziały powodują m. in. brak części zamiennych do urządzeń i aparatów importowanych, co w wypadku drobnego choćby uszkodzenia unieruchamia cenne urządzenie. A przepalona żarówka czy pęknięta ośka kosztują raptem kilka marek czy centów. Lecz skąd je wziąć? Centrale handlu zagranicznego nastawione są zresztą na wysokie obroty, w których musi zniknąć jakaś tam żaróweczka.

Ta sytuacja — bez względu na wszystkie obiektywne uwarunkowania i racje gospodarcze — jest również następstwem niedoceniania badań podstawowych, realizowanych przez uczelnie, ze strony przemysłu, fetyszyzującego doraźność efektów działania, nastawionego na uzyskiwanie natychmiastowych rozwiązań konstrukcyjno-technologicznych. Wypada więc powołać się na przykłady zachodnie, świadczące o zrozumieniu rangi ukierunkowanych badań podstawowych dla praktyki przemysłowej. To właśnie przemysł finansował długoletnie prace badawcze nad pewnym typem związków chemicznych, badania podstawowe, dalekie na pozór od konkretnych korzyści praktycznych. Po latach cierpliwego czekania koncern amerykański Du Pont de Nemour zbił majątek, bo teoretyczne prace doprowadziły — niejako po drodze — do wyprodukowania nylonu. Przykładów takich na pęczki.

Bywa przecież, że nawet uniwersytety przynoszą wymierne i wielkie korzyści gospodarce narodowej — natychmiast, nie otrzymując w zamian żadnych dodatkowych środków na zakup aparatury dewizowej, co przecież obniża ich potencjał badawczy, a tym samym możliwości jeszcze większego... wzbogacenia tejże gospodarki! Takie właśnie efekty dają, trwające już od 10 lat, badania mikrobiologów UMCS prowadzone na zlecenie Stanów Zjednoczonych.

W poprzednim numerze „Kameny" w artykule „Labirynty awansów" wspomniałem o nieekonomicznym wykorzystaniu aparatury naukowej na uczelniach, sugerując się m. in. faktem z terenu lubelskiej Akademii Medycznej, która posiadając aparaturę u n i k a l n ą o wartości niemal 19 mln zł, racjonalnie wykorzystuje tylko jej część, o wartości ponad 6 mln zł — co stwierdziła niedawna kontrola NIK-u.

Niewątpliwie, stopień wykorzystania aparatury — chodzi tu w zasadzie o dyscypliny przyrodnicze — na uczelniach Lublina nie osiągnął poziomu optymalnego, a przyczyny takiej sytuacji tkwią korzeniami w starej strukturze szkolnictwa wyższego, opartej na katedrach — jednostkach o daleko posuniętej autonomii, umożliwiającej kierownikom katedr dowolne, często egoistyczne gospodarowanie urządzeniami. O wzajemnym wypożyczaniu aparatury decydowały więc często kontakty towarzyskie.

Czy nowa struktura, oparta na instytutach, koncentrujących m. in. właśnie aparaturę, w jakiś istotny sposób zmieniła stare praktyki, trudno w tej chwili ocenić, tym bardziej, że zespoły naukowe, podstawowe komórki naukowo-badawcze, znajdują się dopiero w toku organizacji. Logika nakazuje tu jednak pewien optymizm. Nie zapominajmy przy tym, że żadna struktura, sama w sobie, nie spełni oczekiwań, jeśli nie będzie poparta odpowiednim stylem myślenia ludzi, którym przyszło działać w jej ramach.

Ocena wykorzystania aparatury jest jednak problemem bardzo złożonym, w minimalnym tylko stopniu poddającym się obiektywizacji przy pomocy rachunku matematycznego.

Specyfika pracy na pewnych aparatach, choćby na chromatografie gazowym, kosztującym notabene 300 tys. zł., wymaga odpowiedniego reżimu, który nie dopuszcza żadnych odstępstw od założonego programu badań. Przerwanie eksperymentu oznacza fiasko całej roboty. Tymczasem jest to aparat dziś już niejako codzienny dla badań w pewnych dyscyplinach, a więc może się zdarzyć, że o dostęp do chromatografu starać się będzie nie jeden naukowiec czy zespół. A np. UMCS dysponuje tylko jednym egzemplarzem tego aparatu. Jeśli zatem zamierzamy coś oceniać, to przede wszystkim wykorzystanie potencjału myśli naukowej — w kontekście miernego wyposażenia uczelni w urządzenia dziś już gdzie indziej doprawdy banalne.

Określając wartość posiadanej przez uczelnie aparatury według cen zakupów, figrujących w księgach inwentarzowych, a następnie badając stopień jej wykorzystania, można jednak dojść do wniosków liczbowych o tyle przygnębiających, co dalekich od uchwycenia istoty sprawy. Księgi te radośnie opiewają na wiele milionów złotych, lecz nie znajdziesz w nich najmniejszej wzmianki o tym, że faktyczna wartość zarejestrowanych aparatów, czyli ich przydatność do pracy naukowej, dawno zmalała, w wielu wypadkach do zera. Wyższa Szkoła Rolnicza posiada na swym koncie tony aparatów i urządzeń, które obecnie nadają się po prostu na złom, ewentualnie jako pomoc dydaktyczna na pierwszych latach studiów, co także nie jest rozwiązaniem szczęśliwym, jako że przyszły inżynier czy lekarz weterynarii winien uczyć się na sprzęcie nowoczesnym, bo w przeciwnym wypadku będzie to może i specjalista, ale niedouczony. Ten właśnie problem, dostrzegany wyraźnie przez władze uczelni, występuje dość ostro na UMCS.

Spisać na straty, czyli przeznaczyć na złom, trochę szkoda. Sensowniej przekazać szkołom, które np. cierpią na brak mikroskopów. Ale nie jest to sprawa taka prosta, ponieważ uczelnie nie mają tzw. odpisu amortyzacyjnego, uwzględniającego obniżanie się wartości aparatury z biegiem czasu, szkoły więc obawiają się nieco obciążenia takim „majątkiem", który choć potrzebny, może okazać się kłopotliwy.

Pewną część tych zbytecznych dziś aparatów zgromadzono z obawy. Z obawy niemożności ich uzyskania w odpowiednim terminie. Pojawiło się c o ś na rynku, kupujemy, bo kiedyś może się przydać. Niektóre aparaty, zakupione takim trybem, nigdy nie doczekały się nawet rozpakowania. Podobnie z odczynnikami chemicznymi: zamiast koniecznego właśnie grama jakiejś substancji, kupowano 5 gramów — bo nadarzyła się okazja. A 1 gram pewnych odczynników kosztuje i 10 tysięcy złotych! Czterdzieści tysięcy ulotniło się bezpowrotnie.

Przewodniczący Komitetu Nauki i Techniki, prof. Jan Kaczmarek, omawiając swego czasu fakt niedostatecznego wyposażenia placówek krajowej bazy naukowo-badawczej, stwierdził, że: „Nawet najszybciej podjęte środki zaradcze będą w porównaniu z aktualną sytuacją powolne w skutkach. Dlatego też występujemy z postulatem stworzenia tzw. laboratoriów środowiskowych, obsługujących swoją unikalną aparaturą wszystkie placówki danego terenu... Pomocą w tym zakresie jest też decyzja rządu, aby całość zysków dewizowych wpływających z eksportu aparatury i sprzedaży patentów, przekazywać placówkom bazy na poprawę ich własnego wyposażenia."

Takie laboratorium powstało w ubiegłym roku na UMCS w Lublinie. Do najzamożniejszych daleko mu, bardzo daleko.

Tadeusz Olszewski

* * *

Ciebie w krwiobieg szybki niczym różę wplatam
czerwienią najgorętszą
dygotaniem dłoni

A gdy stoisz przy mnie o pień sosny wsparta
jestem w ciebie wrośnięty
każdą gwiazdką spadłą
każdym trawy oddechem
i ziół rozkwitaniem

A gdy stoisz przy mnie o pień sosny wsparta
przez ręce moje płyną żywice sośniane

Zalesie Dolne

Pejzaż z refleksjami

Dokończenie ze str. 1

jest Kukier. Jeżeli jednak i tutaj okazał się ignorantem, otrzymywał stopień niedostateczny. „Rozumiem — mawiał K. do dziesięcioletnich chłopców — że negujesz przydatność religii we współczesnym świecie (sam był zresztą niewierzący), ale też młodzieniec w twoim wieku m u s i mieć jakieś zainteresowania... Dostajesz dwójkę za brak zainteresowań".

Trzeba przyznać, że wszystkie złośliwe przycinki, odnoszące się do jego ówczesnego „stanu", nasz „duchowny" znosił z prawdziwie chrześcijańską pogodą ducha. A jeśli zdecydował się już na replikę, to była ona zawsze cięta, inteligentna, błyskotliwa. Ripostował błyskawicznie. Kiedyś ktoś zażartował: „W związku z twoim nowym zawodem powinieneś znać dobrze historię Starego Testamentu. Czy żona Lota zmieniła się w sól warzonkową czy w krystaliczną?" „W sól Franciszka Józefa" — sparował bez zająknienia K. I tak dalej, i tak dalej...

•

Nie, nie rozpoznam już tego domu. Zresztą po co, na co mi to? Pierwszy i ostatni raz odwiedziłem tutaj K. przed dziesięciu laty. Byłem jeden dzień. Oprowadził mnie po osadzie, potem byłem u nich na obiedzie. Wypiliśmy trochę wódki, ale nie za wiele. K. w tym czasie bawił się w statecznego ojca rodziny. Mówił, że są na „dorobku" i nie myślą wyrzucać pieniędzy w błoto. Czyli wydawać na alkohol.

Z dumą pokazywał mi radio, pralkę, nowe meble, skuter. Skutera zazdrościłem mu.

Rozglądałem się po ścianach za nowymi obrazami. Ale nie było właściwie nic poza „fryzem" z kościotrupami pod sufitem pokoju. K. namalował ten fryz zaraz po przyjeździe, przed dwoma laty. Były też, przypięte do ściany szpilkami, dwie dość parszywe akwarele.

Potem poszliśmy, już we dwóch tylko, na rynek czyli plac Wolności, do knajpy pod nazwą „Leśna" i tam K. zrzucił swoją nową skórę i wypiliśmy jak za starych dobrych czasów. Wtedy też K. zaczął trochę puszczać farbę... „Nie, stary — mówił, — wszystko na nic. To nie jest miejsce dla mnie. Niby wszystko okej, rozumiesz, lasy, grzyby, świeże powietrze, spokój, forsa, nie za wiele pracy, ale malować... Nie, bracie, nie tutaj, nie w tym miejscu. Nie wytrzymałbym nerwowo. Już od dawna nie wytrzymuję nerwowo. Za mało jestem odporny psychicznie, wiesz?

— Niszczą cię w szkole? — zapytałem.

— Nic z tych rzeczy.

— To co?

— Nie zrozumiesz. Żeby zrozumieć, trzeba by tutaj posiedzieć dłużej. Jedno ci powiem, za wcześnie przyjechałem. Może za dziesięć lat, za dwanaście, taki facet jak ja by się zaaklimatyzował. Ale teraz jeszcze nie. Tak, bracie. Nawiewam stąd. Zabieram żonę i dziecko, pralkę i radio, i zwiewamy gdzieś w Polskę. Może na Wybrzeże? Jeszcze nie wiem dokadnie. Ale — fakt. Zdecydowane. Tu się żyje przeszłością i jeszcze raz przeszłością.

Nic mi nie chciał więcej powiedzieć. Rozstaliśmy się trochę chłodno. Wyjechałem pierwszym pociągiem. K. wyjechał w kilka miesięcy później. Przez parę lat nawet nie wiedziałem, co się z nim dzieje.

•

W miejscu, z którego spoglądam na Józefów, padł trafiony niemiecką kulą Józef Kudełka. Było to 1 czerwca 1943 roku. Niemcy napadli na osadę. Mieszkańcom, którzy nie zdołali się ukryć w Puszczy Solskiej, groziła śmierć lub niewola w obozach koncentracyjnych. Biwakujące w pobliżu oddziały partyzanckie pospieszyły na pomoc. Pierwszy zajął pozycje na wzgórzu zaalarmowany przez Kudełkę radziecki oddział Miszki-Tatara. Potem nadciągnęli inni. Na lewo od Miszki rozlokował się polski oddział „Groma". Rozgorzała kilkugodzinna bitwa. Ale w jej pierwszej fazie, przy próbie ataku, zginął Miszka-Tatar i zginął Kudełka. Miszce przeszyła pierś seria z karabinu maszynowego, umieszczonego na wieży kościelnej, w miejscu, gdzie teraz kołysze się dzwonek obwieszczający południe. Kudełka dostał kulę w żołądek. Strzał oddał Niemiec kryjący się za ogrodzeniem domu rodzinnego Kudełki, znajdującego się w odległości trzystu metrów od biegnącego ku niemu partyzanta.

Z miejsca, w którym stoję widać dokładnie józefowski rynek. I być może właśnie z tego miejsca, 23 lutego 1943 r., spoglądał w dół przez lornetkę dowódca józefowskiego oddziału AK „Wir", spoglądał na tłum ludzi spędzonych przez Niemców. Widział, jak z tego tłumu żołnierze wybierają kolejno jego ojca, matkę i siostrę, jak stawiają ich pod murem, szykują się do egzekucji. Jego podkomendni wołali: „Panie poruczniku, niech pan da komendę, pójdziem na nich, wystrzelamy!" Ale „Wir" wiedział, jak szczupłe są w tej chwili siły oddziału. Zdawał sobie sprawę, że jakakolwiek akcja z jego strony spowodowałaby masakrę wszystkich osób znajdujących się na rynku. Jego rodzina musiała zginąć, żeby inni przeżyli.

W 1944 roku straszliwszy los spotkał skoncentrowane w Puszczy Solskiej liczne oddziały partyzanckie AL, BCH, AK i oddziały partyzantów radzieckich. Z niemieckiego kotła udało się ujść tylko nielicznym. W nierównej walce zginął kwiat miejscowej i okolicznej młodzieży.

Tutaj jeszcze działaj, po niemal trzydziestu latach od tamtych wydarzeń, omawia się dokładnie każdy szczegół takiej to a takiej akcji, toczy się zaciekłe spory o dokładność opisu poszczególnych bitew, wspomina poległych i zamordowanych przez okupanta. Tutaj nie ma domu, w którym by nie mieszkał były partyzant, nie ma rodziny, która by nie przeżyła jakiejś tragedii. Tutaj ludzie, znają prawie na wyrywki książki Markiewicza „Paprocie zakwitły krwią partyzantów" i „Nie dali ziemi skąd ich ród", tutejsza młodzież jak chyba żadna inna w Polsce zna dzieje okupacji.

Przygodny turysta, czy przejezdny, który trafił do Józefowa, tego wszystkiego nie dostrzeże. Jawi się przed nim niewielkie, schludne miasteczko, którego centrum stanowi wielki skwer, istem pokryty krzakami róż. Dookoła skweru stoją obszerne, wygodne, murowane domki, panuje ruch w licznych sklepach i zakładach usługowych. W kinie „Tęcza" można obejrzeć film panoramiczny, w kawiarni „Roztoczanka" napić się niezłej kawy. Notabene pierwsza to kawiarnia, jaka powstała w powiecie biłgorajskim po wyzwoleniu. Na dachach wielu domów wznoszą się anteny telewizyjne, w domach jest woda bieżąca i centralne ogrzewanie. Tysiąc trzysta mieszkańców osady żyje raczej dostatnio i z myślą o coraz lepszym jutrze. Ich dzieci chodzą do pięknej, nowoczesnej „tysiąclatki", młodzież — do liceum ogólnokształcącego. Cztery kilometry stąd, przy stacji kolejowej Długi Kąt, wybudowano zakłady produkcji betonów, wielu mieszkańców Józefowa znalazło w nich pracę, inni zarabiają nieźle w państwowych i prywatnych kamieniołomach.

Tak, teraz pewnie K., nadwrażliwcowi i „bezprizornemu" wielkomiejskiemu inteligentowi i artyście na dodatek — łatwiej by się było zaaklimatyzować w Józefowie niż dwanaście lat temu. Tak jak łatwiej niż kiedyś aklimatyzują się przybywający tutaj młodzi lekarze, nauczyciele, farmaceuci. Ale i tak przez długi jeszcze czas czułby się obcy wśród ludzi, na których psychice okupacja wycisnęła szczególnie silne piętno. A przecież przed dwunastu laty, gdy tu zjechał, przed dziesięciu — kiedy ja po raz pierwszy odwiedziłem Józefów, cała osada to błotnisty, zaśmiecony rynek, kilka wybrukowanych kocimi łbami uliczek, dużo butwiejących, drewnianych ruder mieszkalnych i dużo, jakże dużo pustych placów po spalonych w czasie okupacji budynkach. O telewizji ani tutaj słyszano, a ze światem łączyła mieszkańców odległa stacja kolejowa w Długim Kącie. Jeszcze dzisiaj tutejsi ludzie nie mogą się mimo wszelkiej zmiany otrząsnąć z przeszłości, jak wtedy, przed dziesięciu laty. „Tak, bracie — mówił wówczas K., — nawiewam stąd. Za wcześnie przyjechałem. Tu się żyje przeszłością i jeszcze raz przeszłością". A potem dodał jeszcze, czego wtedy nie zrozumiałem: „Tylko oni sami mogą się z tego wydźwignąć, przełamać w sobie to wszystko co ich gniecie. Przy pomocy z zewnątrz, oczywiście, ale przede wszystkim oni sami". Może miał w tym wiele racji.

Spoglądam ze wzgórza na Józefów. Wielka Encyklopedia Powszechna PWN zamieszcza o nim jednozdaniową, zresztą nieścisłą informację: „Józefów, wieś w pow. biłgorajskim, woj. lubelskim, na Roztoczu; kamieniołomy wapienne, tartak, synagoga z XVIII/XIX w". I tyle.

Wojciech Zeidler

Praesens historicus

„Jakże fatalna jest dążność człowieka do zaniechania myślenia o rzeczach, które przestały już być wątpliwe to jest przyczyna połowy wśród błędów".
J. St. Mill, On Liberty' II

być albo nie – być – niech stanie się ciałem
w ucho igielne wątpienia spór szeptany o pomoc
najdalej odchodzi mądrość jak bliżej podchodzi uczucie
wybieraj – mądrość uczucia na przekór samej mądrości

pokorna prośba w każdym ruchu ciała
zamiast decyzji przed pomnikiem ukłon
za miłość jęczmień pogardy pod skórą

nikt nie uchodzi z kwiatami u czoła własnej pogardzie
w rachunek względności
na miłość nie ma skończonych dowodów

czynimy kroki w kraj nieświadomości
ciągle snów głodni nie umiemy zasnąć
a bezboleśnie marzy tylko dziecko

własne pomniki przerastamy w czasie
niestety tylko sposób niemyślenia
już wymyślony jak zwierzę – wychynął
które nie trawi pozorów działania
trzeba je karmić siłą konieczności

nad to przeczucie ciągle nas zaszczyca
jak kłamstwo z czasem zostaje omyłką
tam gdzie Świadomość to jest Obowiązek
nad wolę czynu może być sądzona
jak wiosną rzeka zbuntowana – rośnie
i tłumaczona jest prawem wylewów
żaden dozorca nie zamknie jej ujścia

być może żyje pośród ludzi Ikar
co więc zrobimy z jego przeznaczeniem

proces się toczy obudź się ławniku
to srebro sędzia daje ci w prezencie
tulisz tę prawdę na samym dnie oka
jej nie przemożesz jest wewnątrz powietrza
którym oddychać każe los nasz krótki

radość więc twoja jako dziecka – z palca
zanim nie pojmie że ma część z całości
i święte prawo nim tknąć brzegu słońca

szczęśliwy – mówią – który w śnie umiera
jeżeli żyje – nie dodają – we śnie

wyrok uczciwy obudź się ławniku

na ślad człowieka wycisnięty w ziemi
osiada ptastwo z dzwonkami u skrzydeł

Warszawa

Notatki wietnamskie (2)

Zygmunt Mikulski

Scena i arena

WSALI restauracyjnej dworca lotniczego w Kalkucie wisiał wizerunek tygrysa idącego wprost na widza. Pręgi, kły, etc. Kiedy uczyniłem „przestraszoną" minę, kierownik restauracji zrobił do mnie perskie oko, jakby przyznając humorystyczny bluff rysunku tym bardziej wymowny w kraju, który amatorowi silnych wrażeń może przecież udostępnić kontakt z rzeczywistym piratem dżungli. W Wietnamie jednak, który poznawałem nie w samym wymiarze restauracji, nie spotkałem ani jadowitej żmii, ani skorpiona, ani nawet żółwia. Jedyne stworzenie wywołujące dreszczyk ujrzałem w okolicznościach cywilizacyjnych, w dodatku martwe. Była to duża jaszczurka zamarynowana we flaszce wódki (jak ją tam włożono?), którą chciał nas poczęstować drugi sekretarz polskiej ambasady, sympatyczny Jan Wilanowski.

Ona jedna z widzianych tam stworzeń wyraźnie różniła się od zwierząt mojej szerokości geograficznej. No, jeszcze bawół, ten, który ciągnie sochę. Bo ten, co arbę, niewiele się różni od naszych parzystokopytnych domowych czworonogów. Wyobraźmy sobie krowę, która uległa wypadkowi, a przez to małej deformacji w miejscu, gdzie kark się łączy z tułowiem. To będzie ów pociągowy bawół. Poza tym pies, kot, koń, takie same. Aha, świnie. Mniejsze, wielkości naszych prosiaków, z brzuchami regularnie wypchanymi, jakby każde z nich połknęło koło od wózka.

Natomiast flora... To rozhuśtana swoboda inności. Nie widziałem niczego, co by powiedziło rodzimego dąbczaka, czy sosenkę. Przede wszystkim inwazja palm. Na mój własny botaniczny użytek wprowadziłem takie terminy jak „palma — żaluzja" (liście strzępiaste, żeberkowane, zielone, skojarzenie z żaluzją narzuca się nawet przy najmniejszej dozie wyobraźni), „palma — miotełka do kurzu" (ta pierzasta, z fin de siecle'u, dziś nie używana) i „palma — wyrośnięty chrzan" (co do wyobraźni — patrz wyżej). Później dowiedziałem się, że ta ostatnia to właśnie bananowiec. Na europejski gust — coś tu z baśni Szecherezady, jeśli się idzie i w środku grudnia spotyka na drzewie zielone grona owoców, co wygląda trochę jak wielopalczasta, na pół zaciśnięta pięść. W Laosie widziałem jeszcze „palmę — zatrzymany wiatrak", ale daleko, na aczkolwiek bliskim, to jednak horyzoncie. Ponieważ pierwsze — co za wrażenie! Doprawdy, nie chce się wierzyć w autentyczność faktu. Nasza świadomość upiera się, że to fragment makiety do aktualnie kręconego gdzieś tu egzotycznego filmu. Co osobliwe — jedyny regularny pień widziałem właśnie w wypadku owej „miotełki". Tu nawet regularność aż przesadna. Wygląda po prostu jak cienki, wydłużony walec... otynkowany warstwą cementu Nie chce się wierzyć, że to coś z przyrody ożywionej. Jedynie ów rozprysk zieleni na wierzchołku, zresztą jakoś suchej i szeleszczącej, każe uznać, że to jednak drzewo. Natomiast inne pnie absolutnie nie troszczą się o to, by ich poziomy przekrój dał figurę jako tako zbliżoną do koła. Z lekcji biologii przypominam sobie różne „plazmy", „jądra" i „otocza". Właśnie przy rozkapryszeniu tych kształtów to coś takiego. Niektóre drzewa sprawiają wrażenie, jakby wypuszczały korzenie z każdego miejsca. Wrażenie raczej nieestetyczne: zasłona z szarych, potarganych wisiorów absolutnie nie współgrająca z tym, co się zwykło uważać za orzeźwiającą świeżość zieleni. Natomiast inne tej zieleni mają w nadmiarze. Ich pnie i konary porośnięte są pasożytem, „mszycą roślinną", która prawie całkowicie zasłania korę.

Z kontemplacji „naturalistycznej" za sprawą naszego wietnamskiego przyjaciela Hoana i państwa Wilanowskich (ona parę dni temu pośpiesznie wyrwana z Warszawy) jestem wprowadzony w krąg przeżyć artystycznych. Teatr nazywa się Cai kiong, tytuł sztuki brzmi „Ly Cong". Właściwie trudno powiedzieć, czy mam przed sobą utwór dramatyczny, czy operę. Te rozróżnienia dotyczą gustów europejskich, na Dalekim Wschodzie do sztuki teatralnej podchodzi się w inny sposób. Zresztą ani jedna, ani druga kategoria nie znajduje tu zastosowania w materiale produkcji scenicznej. Jeśli to dramat, to taki, w którym większość kwestii wypowiada się śpiewem, jeśli opera — to bez baletu. Na dobrą sprawę można to określić jako zbiór wokalno-recytatorskich monologów, tyle tylko, że objętych wspólną więzią fabularną. Jakże tu „zaniedbana" sprawa zaangażowania środków ekspresji, ile miałby tu do „zarzucenia" nasz reżyser! Rzeczywiście, na widowni europejskiej nawet przy nieznajomości języka, w którym sztuka jest napisana, z samej gry gestów, mimiki, sytuacji scenicznej można coś niecoś wywnioskować o treści przedstawienia. Tu, gdyby nie z konieczności skrótowe informacje Huana, siedziałbym w Wietnamie na tureckim kazaniu.

Treść? Córka króla zakochała się w kupcu. Grozi kompromitujący mezalians. Ponieważ dziewczęce serce ani chce słyszeć o głosie rozsądku, córka będzie ścięta. A ponieważ matka ujmuje się za córką — również i ona za pośrednictwem katowskiego topora doświadczy opiekuńczej woli ojca rodziny. Po różnych perypetiach z błaganiami kara ścięcia zostaje zamieniona na podróż łodzią w dół rzeki z tym, że pasażerka odbywać ją będzie samotnie, całkowicie związana. A więc również w perspektywie rozstanie się z życiem. Staje się jednak inaczej. Szczęśliwym zrządzeniem losu następuje spotkanie kochanków, on dokonuje czegoś w rodzaju zamachu stanu, miłość i sprawiedliwość społeczna są uratowane. Przy intensywnym akompaniamencie orkiestry, w której zawodzący nhi wybija się na pierwszy plan akustyczny.

Ale pobyt w teatrze, w zamkniętym pomieszczeniu, przy obecności tylu widzów (teatr w Hanoi jest obiektem oblężenia!), stał się dla mnie co nieco uciążliwy przez (aklimatyzacji nie przeszedłem) zagrażający tu nieustannie deficyt tlenu. W hotelu, późnym wieczorem, wykazuję objawy przeciążenia, co przez moich (poznańskiego i wietnamskiego) kolegów jest potraktowane jak potrzeba skorzystania z pomocy lekarskiej. Jeśli chodzi o mnie — w perspektywie mam dodatkowe doświadczenia wietnamskie, mianowicie te, które wynikają z kontaktu z tamtejszą służbą zdrowia. „Leczyłem się w Hanoi" — czy nie atrakcyjny wtręcik w przyszłej rozmowie w kraju?

Początkowo czuję się trochę zdeprymowany takim obrotem rzeczy, ale kiedy dowiaduję się, że w szpitalu przebywają również przedstawiciele innych narodowości, jak Rosjanie i Kubańczyk, dodaje mi to ducha. Solamen miseris socios habere malorum. Na początku popełniam nietakt. Nie wiedząc, że owoce poza posiłkami są w szpitalu prywatną własnością pacjentów, zjadam Wietnamczykowi banana. Ale jakże serdeczna, jakże doprawdy ludzka, życzliwa reakcja właściciela! Scena wobec absolutnej nieznajomości wspólnego języka u nas obu wyglądała dość groteskowo, ale ileż mam do zawdzięczenia nieznanemu przyjacielowi, który okazał mi tyle nie udawanej, bezinteresownej serdeczności! Ten język jest na pewno międzynarodowy.

Ale chyba drugi nietakt popełniłem wobec całego szpitala: nie chciało mi się jeść. Całkiem po prostu. Zauważyłem, że z tamtej strony jest to przyjęte jako oczekiwanie na frykasy, bo na moim stole zaczęły się pojawiać dania jakby z coraz innej strony „celujące" w mój nie odkryty gust. Całe szczęście, że po pewnym czasie apetyt mi wrócił i w ten sposób dostąpiłem pełnej rehabilitacji.

Ale też i — psiakość! — trzeci nietakt. Pielęgniarka prowadzi mnie do innego pawilonu, trzeba przejść przez przestrzeń otwartą, a pada deszcz. Co robi pielęgniarka? Zdejmuje z głowy trójkątny kapelusz i nakłada na moją głowę. Co robię ja? Przekładam go z powrotem na głowę pielęgniarki. Całe życie uczono mnie dżentelmeneria wobec dam, ale tutaj przejawia się ona w innych formach. Czuję, że popełniłem nietakt. Takie wrażenie bywa nieomylne, niezależnie od niklości danych rzeczowych, na których się opiera. Cóż poradzę? Nie przeszedłem aklimatyzacji obyczajowej. Później zauważyłem, że to, co u nas uchodzi za „szarmanckość" w stosunku do kobiet, jest tu traktowane jak coś ośmieszająco nienaturalnego, jak coś w rodzaju „zgrywy". I dostało się to mnie, zaprzysiężonemu wrogowi konwenansu!

Nareszcie ktoś, z kim mogę jako tako się porozumieć: wiceprzewodniczący Komitetu Wymiany Kulturalnej z Zagranicą, Vu Quoc Uy, który mnie odwiedza w trosce o zdrowie. Resztkami francuszczyzny tłumaczę jak mogę, że jestem zdrowy, że jak najprędzej muszę wrócić do swoich zajęć, ale cóż można poradzić wobec nadmiernej troskliwości, z którą się tu nieustannie spotykam. Jestem przedmiotem wszechstronnych badań, konsultacji, analiz, podczas gdy moim celem było tylko zaczerpnąć nieco respiracji. Jestem „załatwiony". Kiedy więc odwiedza mnie kolega Górnicki, wpada nie tyle na genialny, co wymagający zdecydowania pomysł: uciekać. Cichaczem staramy się przejść czujne linie pielęgniarek. Niestety. Zamiar zdemaskowany. Wobec tego proszę o parogodzinne zwolnienie, rzeczywiście mając zamiar — wobec tak zdecydowanego oporu — powrócić. Na to jest zgoda. Ale kiedy się poczułem na wolności, zapomniałem o rycerskim słowie: poszło w kawałki. Dystyngowany Vu Quoc Uy, kiedy się dowiedział, że jestem poza szpitalem, wydał następnie obiad na cześć mojego powrotu zdrowia. Nie dowiedział się zaś nigdy, jaki to postępek firmuje swoim autorytetem. Ale ja w ten sposób pozbyłem się obaw.

Ze szpitala — prosto do cyrku. Tam spotykamy ekipę polskich konstruktorów, która przyjechała w celu wybudowania stoczni na wybrzeżu Zatoki Tonkińskiej. Śmiejemy się, ktoś to całe grono rozmawiające dla tubylców egzotycznym językiem częstuje mandarynkami.

Kamena str. 4

Józefów „był dawniej wsią Majdan zwaną, którą ordynat Tomasz Józef Zamoyski, starosta grodecki, przywilejem z d. 3 grudnia 1725 r. na miasto zamienił i od swego imienia Józefowem przezwał. Nadał on mu wtedy 4 jarmarki do roku, dozwolił palenia wódki, warzenia piwa i sycenia miodu za pewną opłatą, który to przywilej przez żadnego z monarchów nie był potwierdzony. Ordynatowie zaś późniejsi, swobody przedtem udzielone następnie sami znieśli. (...) Była tu drukarnia hebrajska założona w 1824 r., która przed laty bardzo czynna, dużo książek hebrajskich wydawała(...) Pod Józefowem zginął 24 kwietnia 1863 i pochowany Mieczysław Romanowski, zdolny poeta.(...) Posiada Józefów kościół parafialny(...) sąd gminny, dom schronienia dla starców i kalek, synagogę, 22 kramy". („Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich". Warszawa 1882)

•

W zachodniej pierzei dawnego rynku widać mury spalonej synagogi. Jeden z ostatnich śladów wojny. Wkrótce ruinę przykryje dach, a potem robotnicy przystąpią do pełnej odbudowy budynku. W przyszłości będzie się tutaj mieścił gromadzki dom kultury — sala widowiskowa, biblioteka, czytelnia, świetlica. Swego czasu wiele mówiło się o budowie w Józefowie domu kultury według typowego projektu, ale w ostatecznym efekcie ta inwestycja została skreślona z planu. Wtedy miejscowe władze zwróciły uwagę na gmach starej synagogi. Nawiązano kontakt z Wydziałem Kultury Prezydium WRN w Lublinie i z wojewódzkim konserwatorem zabytków, który był zainteresowany w odbudowie historycznego obiektu, ale nie posiadał dostatecznych funduszów. Na mocy zawartego porozumienia Wydział Kultury dostarczył dokumentację budowlaną i wyasygnował 400 tys. złotych. Kosztorys budowy opiewa na sumę ponad miliona. Różnicę pokryje już sama Gromadzka Rada Narodowa w materiałach budowlanych, gotówce i robociźnie. Dom kultury powstanie w znacznej mierze czynem społecznym. Prace budowlane mają się rozpocząć na wiosnę. Kiedy zostaną zakończone, trudno w tej chwili dokładnie określić. Natomiast jedno jest pewne: że osadzie niezbędna jest placówka, która zajęłaby się zorganizowaniem jakiegoś życia kulturalnego w Józefowie. W tej dziedzinie bowiem od lat nic tam się nie dzieje. Nie ma nawet klubu „Ruchu" czy Klubu Rolnika. Nie ma amatorskich zespołów artystycznych. W dawnym „centrum" partyzanckim nie ma nawet izby pamiątek. A tymczasem w okolicy dość materiału, który by wystarczył nie na jedną, ale na kilkanaście ekspozycji.

W innej części rynku-skweru — masywny, piętrowy gmach. Jeden z nielicznych, które nie zostały zniszczone podczas okupacji. Budynek został wzniesiony kilka lat przed wojną czynem społecznym tutejszych mieszkańców. Na parterze — tak jak i obecnie — mieściły się sklepy spółdzielcze, piętro zajmował Dom Ludowy — świetlica, biblioteka, pokoje do gier i zabaw. Dzisiaj mieszczą się tutaj biura józefowskiego „geesu".

„Przed kilku godzinami byłem w tym budynku. Odwiedziłem prezesa. Bronisław Podolak urzęduje w niewielkim gabinecie, przylegającym do dużego pomieszczenia dawnej świetlicy. Z okien owej świetlicy przed niespełna trzydziestu laty — dziesięcioletni wówczas chłopiec — obserwował pamiętną egzekucję na józefowskim rynku. Lata okupacji dobrze się wryły w pamięć obecnego głównego księgowego GS, Michała Sytego. Ale nie o latach wojny rozmawiałem z nimi. Podolak i Syty rozkładali przede mną zawartość grubych teczek, zawierających dokumentacje nowoczesnej restauracji i kawiarni, Wiejskiego Domu Handlowego. O pieniądze potrzebne na budowę domu handlowego wciąż jeszcze toczą się rozmowy z władzami nadrzędnymi, ale restauracja i kawiarnia są już na ukończeniu. Koszt budynku wraz z wyposażeniem wynosi ponad 4 miliony złotych, ale będzie to najobszerniejszy i najelegantszy zakład gastronomiczny w powiecie. Mieszcząca się na piętrze kawiarnia o stu miejscach, wychodząca ogromną szklaną ścianą na najpiękniejszą część józefowskiej okolicy — na kamieniołom i skraj Puszczy Solskiej, będzie spełniała do czasu rolę zastępczą domu kultury. Rzecz w tym jednak, aby już teraz władze gromadzkie pomyślały o nakreśleniu wspólnie z zarządem „geesu" planu działalności kulturalnej, żeby pomyślano o etacie dla człowieka, który ów plan będzie wcielał w życie. Czy nie warto by było pomyśleć o próbie takiego mariażu kultury i gastronomii w szerszym wymiarze, nie tylko w przypadku Józefowa? Wszędzie tam, gdzie brak funduszy na budowę ośrodków kulturalnych, a równocześnie, w znajdujących się pod bokiem kawiarniach, pije się wino i co najwyżej — gra w szachy? Czy nie warto przy kawiarniach, istniejących w małych miasteczkach i osadach, organizować prelekcji i spotkań z ciekawymi ludźmi, występów artystycznych, zakładać klubów dyskusyjnych? Nie rozwiąże to, oczywiście, w sposób pełny sytuacji, ale przynajmniej w pewnej mierze wypełni istniejące luki w życiu kulturalnym danej miejscowości...

•

Józefów leży przede mną jak na dłoni, z jego nowo kształtującym się obliczem architektonicznym, z jego historią i z jego problemami. Polną drogą, do domu Kudełków, wspina się pod górę samotny mężczyzna. Niesie ciężki młot i kliny stalowe do łupania bloków piaskowca w kamieniołomie, który głęboką szczeliną wcina się między Józefów a Puszczę Solską. Zrównał się ze mną, przystaje, zapaliliśmy.

— Przyglądam się panu dawno z mojego podwórka — mówi. — Stoi pan i patrzy na Józefów. Pan może fotograf, albo z filmu?

— Nie — kręcę głową — nic z tych rzeczy. Wspominałem starego kolegę i usiłowałem znaleźć dom, w którym kiedyś mieszkał. Ale nie znalazłem.

— Szkoda, że pan nie z filmu — mówi mężczyzna. — Tutaj by się znalazło sporo tematów do filmu.

Mirosław Derecki

„uczestniczą" w rozmowie również kierowcy wojskowych łazików, którzy nas przywieźli. Nad nami ciemna, azjatycka noc z gwiazdami pobladłymi przy lampionach cyrku (Xiec), który jest pierwszym państwowym cyrkiem wietnamskim.

Chyba istnieje odrębny styl dla wszystkich cyrkowych orkiestr świata. Również i w tej nie wyczujesz nic z owego trudno dla pamięci uchwytnego, egzotycznego rozjęczenia, jakie daje się poznać w pejzażu akustycznym Wietnamu. Równe, podbijające, „zrywne" dźwięki. Tu już gospodarka czasem „europejska". Światło pod kopułą namiotu kilka razy przybiera na sile, co wprowadza otoczenie w charakter iluzyjny, odpowiadający tajemniczości i magii cyrku.

Żenująco niewiele razy byłem widzem areny w Polsce, ale mimo to mam pewne spostrzeżenia dotyczące tego rodzaju sztuki u nas. Co mianowicie, to w cyrkach naszego zachodniego autoramentu istnieje ten kategoryczny imperatyw doskonałości, który wprawdzie każe odnieść się do produkcji cyrkowej z najwyższym podziwem, ale który jakby trochę „odczłowięcza" kunszt areny. Tresura, mechanika, abstrakcja. Świetne to — proszę nie myśleć, że coś tu grymaszę czy podważam, staram się tylko uchwycić różnicę stylu — ale równocześnie jakby zamrożone w tej świetności „nie z tej ziemi". Czuje się też niemiłosierny, bezwzględny gorset najwyższego wymagania, sam front cyrkowej roboty. W cyrku wietnamskim — o dziwo — całkiem często dochodzi do tego, że coś na coś nie trafi, jakiś skok nie wyjdzie, numer trzeba powtórzyć. Ale też, o dziwo — a proszę mi wierzyć, nie przesadzam ani o włos — nie deformuje to wcale widowiska, poprawka podejmowana jest z tym większym wdziękiem swobody, „wychodzi" wtedy z nawiązką kompensująca poprzedni błąd. Widać, że wykonawca czuje kredyt zaufania dany mu przez publiczność. Widowisko cyrkowe jest wtedy obustronną zabawą w doskonałość, tym żywszą, że kontrastująca ze zdarzającymi się „kiksami".

Nie było ich wtedy, kiedy na arenie ukazywała się młoda dziewczyna, która wykonywała akrobacje i żonglerkę nogami. Rzeczywiście dziecko do cyrku urodzone. Przy tym absolutnie nie zmniejszony wdzięk kobiecy. I nic z owego „zmężczyźnienia" mięśni, jakie się trafia przy częstotliwym wysiłku fizycznym. Widząc kobiety wietnamskie w ubraniach o szczelności skafandrów, już — już byłem bliski zwątpienia w ich przyrodzone właściwości jako cór Ewy. Wróć. Wystarczy rzut oka na akrobatkę pierwszego państwowego cyrku w Wietnamie, by pozbyć się fałszywych mniemań, powstałych w niesprzyjających okolicznościach poznawczych.

Później w parku „Zjednoczenie". Czy mówiłem, że naszą flora się tu nie powtarza? To słuszne, ale w odniesieniu tylko do drzew. Takie sobie astry, nagietki, szałwia absolutnie nie uwzględniają tych 30 stopni różnicy w szerokości geograficznej. Nie udaje się to róży (hong). Jest mniejsza, ale bardziej zwarta, a już znacznie bardziej wonna.

Nasi amatorzy dużego jasnego! Z jakąż niechęcią odnieśliby się do tego kraju. Tu się pije piwo, owszem, ale w rozmiarze jedna butelka na czterech. I to w tempie, w którym nasz piwosz zdążyłby odprowadzić dzieweczkę do laseczka, westchnąć nad niedolą górala, któremu czy nie żal i zaproponować zmianę lokalu. Przy stolikach w parku „Zjednoczenie" wcale nie widać kobiet. Za to są w oddziałach odbywających ćwiczenia wojskowe, które się również odbywają w parku.

Wieczorem — w ambasadzie francuskiej na filmie „Les perles de la couronne" („Perły korony"). Mówi się „ w ambasadzie", ale o tym charakterze placówki dyplomatycznej Francja tam nie ma. Jaka oficjalna nazwa? Nie wiem. Wiem natomiast, że wyświetlanie filmów w ambasadzie to chyba coś z upłynniania remanentów danego państwa. Film jest za długi, poprzedzony dodatkami o charakterze z lekka propagandowym, nie jestem zachwycony. Jak również coctailem, który obowiązkowo dla dobrego tonu trzeba wypić. Szklanka wody z nadmiernie zielonym ekstraktem z mięty, to wszystko zaprawione alkoholem, na skutek czego z jakiej takiej klarowności przekształca się w mętną lurę. Cóż, de gustibus — i tak dalej.

Aha, poprzednio w parku spotkałem dwie dziewczynki uczące się z jednego podręcznika. Ciekawość dziennikarza: czego się uczą? Więc najpierw był to język rosyjski, a z historii upadek imperium hiszpańskiego. Daję słowo, zapomniałem, że w ogóle cokolwiek istnieje poza Wietnamem i Polską.

Nowa poezja ukraińska

w przekładach Kazimierza Andrzeja Jaworskiego

Iwan Dracz (ur. 1936)

Etiuda kochania

Kochać — to nowe wciąż ziemie odkrywać,
Świeże niuanse i odcienie nowe.
Kochać — co chwila się patrzeć, wsłuchiwać,
Tracić z zachwytu nad miłością głowę.

To usta nurzać w krynicy nieznanej
I pragnieniami swoimi nie władać,
Przekreślać wszystkie najdziwniejsze plany,
By potem jeszcze dziwniejsze układać.

Kipieć i płonąć z zazdrości udręki,
Z miłości poznać wszystko bez pochyby,
Szalone szczęście i piekielne męki...
Jeśli nie płynie w żyłach twych krew ryby.

Etiuda lwia

Pamięci E. Hemingway'a

Wyszedł z radia czarny lew
I me serce zbudził o północy.
W jego czarnych ciężkich łzach
Zobaczyłem trumnę kryształową.

To był dumny i smutny lew,
Czarny lew ze złocistą grzywą,
Brat rodzony słońcem lśniący ryby-miecz,
Gdzie łza atlantycka kipi.

I on wzywał mnie na pogrzeb brata,
Do tej trumny, gdzie z rękoma milczącymi
Leżał siwy opalony lew
Z symfonicznym sercem dziecięcia.

Wołodymyr Jarynycz (1938–1968)

* * *

Ręce matki są niby ręcznik
Tak samo gościnne,
I łzę obetrą
Z twarzyczki dziecka i potem — swoją.
Ręce matki są niby korzenie
Tak samo poskręcane
I czarne
Od pracy i od ziemi.
Ręce matki są jak woda lecznicza
Od wszystkich chorób i od wszystkich bólów.
Ręce matki — to dzieło sztuki.
Mamo!
Nie znam na świecie
Nic piękniejszego
Od zmęczonych rąk twych,
Gdy je złożysz na kolanach.

* * *

„Z początku ludzie nie wiedzieli,
Co to jest miłość.
I kiedy miłość się zjawiła,
Zaczęli jej próbować palcami
Brudnymi i czystymi,
Ordynarnymi i delikatnymi,
Smutnymi i wesołymi
I dlatego dotychczas nikt nie wie,
Co to jest miłość.
A miłość odtąd nie lubi
Rzucać się ludziom w oczy,
Ale jeśli już ktoś ją spotka,
Nie dotyka jej nigdy palcami."

Witalij Korotycz (ur. 1936)

Beethoven

Muzyka. Scena. Serce chłonie.
Czasem to można zobaczyć:
Paznokcie łamiąc o dłonie
Ludzie dorośli płaczą.
Taką muzyką nie dzieci kołysać,
Od niej się ziemia trzęsie.
Ot, wiersz by kiedy taki napisać
Byłoby szczęściem.

* * *

My je nie wierząc sami sobie
Wstawiamy w pieśni i sonety.
Słowa
Wytarte jak monety
Znowu puszczamy w obieg.
Naprzód! Do boju w ich rynsztunku!
Czyż te ozdoby nic nie warte?
Czytelnik nie chce przyjąć w rozrachunku
Monety z herbem wytartym.

Do syna

Dzisiaj właśnie skończyłeś roczek
I twój dziadek
Otwierając rano gazetę
Mówi ci z wielką powagą:
— A no zobaczymy, czy nie ma
Dekretu Rady Najwyższej
Z powodu twoich urodzin.

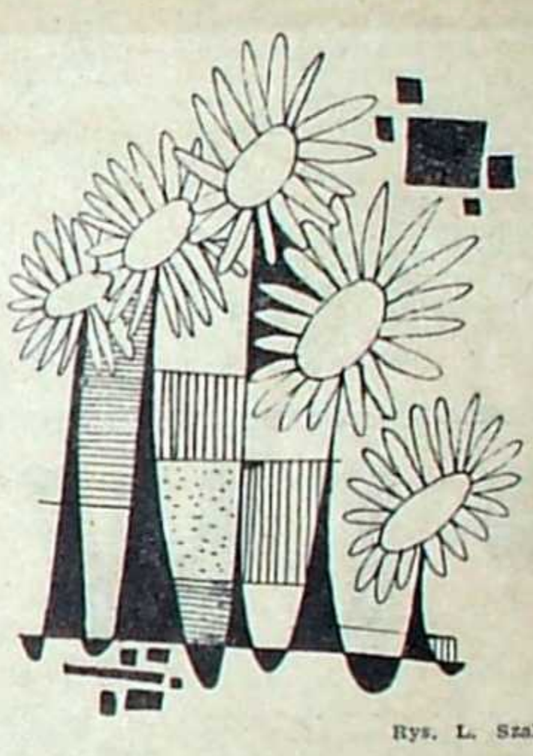

Rys. L. Szalecki

Hałyna Hordasewicz (ur. 1934)

Z cyklu „Barwy"

Na szary obrus na talerzu czarnym
Czerwone jabłko położono zmyślnie.

I wszystko stało się zupełnie inne,
Zalśniło się, wesoło zaiskrzyło.

Szarość się stała nie zwykłą szarością,
Ale srebrzystą i z lekka różową,
Delikatniutką jak poranna mgiełka.

I czerń się stała nie zupełnie czarna,
Stała się głębsza, cicha, tajemnicza
Niby odwieczna zagadka istnienia.

I w życiu też podobnie czasem bywa:
Jakaś nadzieja błyśnie i potrafi
Zmienić, oświecić i odwrócić sprawę
Nową i dotąd nie widzianą stroną.

Walentyn Myśko (ur. 1939)

Niebo

Człowiek lubi błękitne niebo,
Nawet niebo czerpie z krynicy,
A potem je pije z konewki.
I jeszcze człowiek lubi odpoczywać
Pod jasnym otwartym niebem.
A gdy człowiek umiera,
To mu sypią na oczy
Garb
Ziemi,
Aby one już nigdy nie widziały nieba.
Może dlatego człowiek za życia
Tak bardzo lubi niebo.

Anatolij Kaminczuk (ur. 1939)

* * *

Ty przepływasz ulicą
Z kolorowym żaglem parasolki.
Tak czule, tak muzycznie rozbębnił się deszcz
W takt twych zalotnych ruchów
Ręki i ramion, linii harmonijnych ciała
I czółenek-pantofli, które niosą ciebie
Wśród fal błękitnych przez zasłonę deszczu
Aż hen — ku słońcu...
Przez deszcz ku słońcu...
Na spotkanie.

Iwan Nyzowyj (ur. 1940)

* * *

Kiedy umrzemy, na mogiłach naszych
Zaczną sztandary rosnąć i bagnety.
W. Bułajenko

Umierają poeci — nieznani geniusze.
O złej godzinie nocnej kończy się agonia,
A poetom w ich sercach konają i duszach
Łabędzie pieśni śmierci, co nie mogą skonać.

A potem wyrastają na grobach bagnety
I czerwone sztandary z ich serc niespokojnych,
I ciągną się kolejki do schronu poety
Dłuższe od tych, co stały po chleb w czasie wojny.

Poprawki do wniosków

Dokończenie ze str. 1

wej Szkoły Inżynierskiej, marząc nierealnie o własnej politechnice, chociaż ani potrzeby ani możliwości nie dawały szans na jej utworzenie. Od kilku lat WSI otaczana jest powszechną opieką i coraz szybciej wszelkimi formami studiów uzupełnia nasze braki. A stowarzyszenia techniczne, zgrupowane w Oddziale Wojewódzkim Naczelnej Organizacji Technicznej, liczą już ponad 12 tys. członków, zaś na 5—6 tysięcy oblicza się tych, którzy mają odpowiednie dyplomy, ale do żadnego stowarzyszenia nie należą. Jest to więc potężna armia ludzi, którzy kierują techniczną i technologiczną stroną naszej produkcji, a także wywierają, lub wywierać powinni coraz większy wpływ na jej rachunek ekonomiczny. Razem z 300 tysiącami robotników tworzą oni nasz dzień dzisiejszy i perspektywę jutra.

Czy zrobiliśmy jednak wszystko, aby posiadaną kadrę techniczną wykorzystać całkowicie? I to samo pytanie należy postawić odwrotnie: czy kadra techniczna zrobiła wszystko, co rzeczywiście zrobić mogła?

Z jednej strony są fakty, których nie zmienić nie potrafi. W ostatnich latach przed wojną udział województwa lubelskiego (większego terytorialnie i zamieszkałego przez 250 tys. ludzi więcej) w wartości produkcji przemysłowej całego kraju nie przekraczał 1,6 proc., a tuż po wojnie spadł nawet do 1,0 proc. Dzisiaj jednak wynosi już 3,4 proc. Bez żadnych doświadczeń z przeszłości, przy niezmiernie niskim poziomie ogólnej kultury technicznej na starcie, nauczyliśmy się produkować samochody, motocykle i helikoptery, łożyska toczne i agregaty do lodówek, urządzenia elektronowe i energetyczne stacje rozdzielcze, miliony — a nie dziesiątki tysięcy — ton cementu, wyroby dziewiarskie i wiele, wiele innych artykułów. Mamy już własne konstrukcje samochodów i motocykli, maszyn rolniczych i wag, urządzeń dla cukrowni i innych fabryk, wznosimy hale fabryczne o powierzchni kilku hektarów, o czym przed 30 laty nikomu z nas nawet się nie śniło.

Ale równocześnie mamy jeszcze wiele braków i w technice i w technologii, w zarządzaniu i organizacji. Ogarniająca cały świat rewolucja techniczna z nie zawsze obiektywnych powodów napotyka u nas na różne przeszkody typu psychologicznego czy biurokratycznego, co właśnie — a nie braki w wyposażeniu — najbardziej irytuje.

System zarządzania, który się u nas wykształcił, słuszny zapewne w pierwszych latach niepodległości, gdy nie do wszystkich ludzi można było mieć zaufanie polityczno-moralne, gdy brakowało ludzi z kwalifikacjami zawodowymi — zbyt często utrzymywał się nadal, ulegając przez to skrzywieniu. Gęstniała siatka paragrafów, punktów i podpunktów, za którymi rozwadniała się nie tylko decyzja — nawet jej brak też był decyzją złą — ale także odpowiedzialność i za decyzję i za jej wykonanie. Tu właśnie szukać należy źródeł listu premiera Jaroszewicza z 22 stycznia o wzmocnieniu jednoosobowego kierownictwa, które — więcej i lepiej niż dotąd konsultując się z załogą — musi jednak jednoosobowo i operatywnie podejmować decyzje. Pod warunkiem, że do podejmowania decyzji rzeczywiście dorosło.

Wiele do dziś obowiązujących przepisów wyrosło w okresie silnej centralizacji w zarządzaniu oraz narastania biurokratyzacji na różnych szczeblach administracyjnych. Wprawdzie wielokrotnie nawoływano do zmiany, ale widocznie zbyt kompromisowo, dorywczo, bo sytuacja ulegała zbyt powolnej zmianie. I ukazujące się nadal przepisy, chociaż często nosiły nazwę instrukcji, nie miały charakteru instruktywnego, nie zachęcały do samodzielności, inicjatywy, szukania nowych, lepszych form zarządzania i rozstrzygania problemów, natomiast często przeciwdziałały szybkiemu wprowadzaniu do produkcji nowych konstrukcji technicznych czy metod technologicznych. Nie było przecież tygodnia, aby w jakimś piśmie nie pokazywano bałaganiarskiej drogi tego czy innego wynalazcy, co czasem załatwiało pojedynczą sprawę, ale nie rozwiązywało problemu.

Nasze przepisy gospodarcze w zasadzie albo czegoś zakazywały, albo coś nakazywały. Nie mając elastyczności, nie mając elementów zachęty, albo mając je rzadko — nakazywały ścisłe wykonywanie określonych czynności wszędzie w jednakowy sposób, bez względu na bardzo nieraz odmienne warunki różnych środowisk, a nawet bardzo różne wyposażenie analogicznych fabryk w tej samej gałęzi przemysłu.

Nie może być, oczywiście, mowy o tym, aby dla każdej fabryki tworzyć osobny przepis, aby stwarzać możliwości bardzo swobodnej interpretacji przepisu. Ale prawo gospodarcze, w odróżnieniu np. od prawa karnego, powinno być kierunkowe i elastyczne, a w swoich nakazach ramowe, nie zaś drobiazgowo szczegółowe. A przecież i przepisy prawa karnego w każdym wypadku dają sądowi możliwość swobodnego obracania się w dość szerokich granicach kary od — do, a wcale nie tak wąskim marginesem uprawniają ten sąd do nadzwyczajnego złagodzenia kary. Nikt zaś nie będzie twierdził, że w ten sposób torujemy drogę anarchii lub że zgadzamy się na wzrost liczby przestępstw.

Sprawne zarządzanie, zwłaszcza przemysłem, jest także, musi być, czynnością dynamiczną. Każdy tydzień oczekiwania na decyzję oznacza często nie tylko straty materialne, ale i niemożliwe już do odrobienia straty psychologiczne. Tymczasem nasza praktyka doprowadziła do tego, że nawet wcale nie najważniejsze decyzje mogły zapadać tylko gdzieś wysoko i daleko, gdzie najczęściej brakowało konkretnych danych o konkretnej sytuacji, a więc tych wszystkich parametrów, które były niezbędne do podejmowania decyzji. A i u nas, w województwie, są dyrektorzy, którzy nawet swoim zastępcom nie pozwalają na podejmowanie decyzji na szczeblu przedsiębiorstwa, uważając, że jest to niezbędna prerogatywa tylko ich stanowiska.

I jeszcze jedna uwaga ogólna. Mówiliśmy i pisaliśmy wiele o postępie ekonomicznym, i technicznym także. Słusznie. Ale jakże często zapominaliśmy, że i jeden i drugi nie istnieje sam w sobie, a przynajmniej nie rozwija się w sposób właściwy, bo oba są funkcjami postępu w zarządzaniu. Można dawać miliony na postęp techniczny, a zaraz potem niszczyć te miliony schematycznym zarządzaniem, biurokratyzacją, brakiem inicjatywy i strachem przed najmniejszym ryzykiem. Chodzi o zarządzanie rzeczywiście operatywne, gdzie referent nie chowa się za plecami kierownika, kierownik za biurkiem dyrektora, dyrektor za podpisami ze zjednoczenia. Gdzie zasadą jest nie argumentowanie na „nie", ale szukanie możliwości powiedzenia „tak". Jakże często bowiem przyjmowaliśmy zasadę, że jeżeli coś nie jest wyraźnie dozwolone, to znaczy, że jest zakazane, chociaż tak wcale nie było. Zupełne postawienie na głowie podstawowych zasad prawa. Wygodne i bezpieczne dla biurokraty — tak. Ale jakże szkodliwe.

Te i inne myśli nasunęły mi się, gdy studiowałem wnioski, wysunięte przez stowarzyszenia techniczne naszego województwa na VI Kongres Techników Polskich, który w tych dniach miał się odbyć w Poznaniu. W związku ze zmianą założeń planu 5-letniego, a w konsekwencji przesunięciem terminu jego opracowania, Kongres odbędzie się dopiero w lipcu. To jednak nie zmienia faktu, a w aktualnej sytuacji jest nawet szczególnie uzasadnione, aby przyjrzeć się tym wnioskom, które już zostały wysunięte — by je ulepszyć i uzupełnić.

Wiem, że wnioski zostały opracowane jeszcze w roku ubiegłym, gdy byliśmy ubożsi o wiedzę, jaką przyniosły nam tragiczne wypadki grudnia, które przecież wyrosły na gruncie nieprawidłowości gospodarczych. Doceniam w pełni pracę organizatorską i koncepcyjną autorów tych wniosków, zwłaszcza że z reguły była to praca społeczna. Mam bardzo wiele szacunku dla naszej kadry technicznej za osiągnięcia, o których krótko wspomniałem już wyżej. Mimo to wydaje mi się rzeczą słuszną i pożyteczną zajęcie krytycznego stanowiska wobec niektórych wniosków, sądzę bowiem, że wyrosły one z tych właśnie niedobrych praktyk przeszłości, z niewłaściwego jeszcze sposobu myślenia.

Oto dwa wnioski Sekcji XII, zajmującej się sprawami transportu i komunikacji. Wniosek pierwszy: „Wprowadzić uzbrojenie podkładów (pod szyny kolejowe — przyp. J. D.) w wytwórniach i nasycalniach, aby na bazach montażowych montować przęsła tylko przez założenie szyn". I drugi: „Całkowicie zmechanizować prace ładunkowe i przeładunkowe na uprzednio zrejonizowanych stacjach handlowych i bocznicach oraz wprowadzić konteneryzację i paletyzację". Wszystko wydaje mi się słuszne. Ale trzeba zauważyć, że oba wnioski są podpisane przez zastępcę dyrektora Okręgu Kolei Państwowych. Czyżby centralizacja decyzji w sprawie miejsca, gdzie przykręcać śruby do podkładów, leżała poza, a raczej ponad gestią zastępcy dyrektora DOKP? Czyżby jedną wizytą, a chociażby jednym telefonem do podległej sobie nasycalni w Lipie pod Krasnikiem zastępca dyrektora, chociażby po naradzie z samym dyrektorem, nie mógł załatwić tego w podległej sobie jednostce? I jeżeli rzecz okaże się dobra — przekazać tego kolegom z innych dyrekcji? Czy trzeba odwoływać się aż do autorytetu ogólnopolskiego kongresu, by nie kto inny jak lubelska DOKP „zrejonizowała stacje handlowe i bocznice", co już przed laty powinna była zrobić, i zmechanizowała tam prace oraz wprowadziła kontenery i palety? Bardzo mi to wygląda na schemat myślenia, że bez decyzji z bardzo wysoka nawet na szczeblu ponadwojewódzkim, a takim przecież jest Dyrekcja OKP, nie można decydować o jakichś śrubach.

Zdziwiłem się także wielce przy lekturze wniosków Sekcji VIII. Już sam wstęp był zaskakujący: „Dyskusja (...) ograniczała się do spraw związanych z zabezpieczeniem przez hutnictwo i odlewnictwo potrzeb zakładów". I rzeczywiście, 4 strony maszynopisu to rejestr przetykanych pretensjami — zapewne słusznymi — potrzeb naszych największych fabryk. A przecież mamy jedną dużą odlewnię FSC i kilka mniejszych w różnych fabrykach. Czyżby tu, na własnym podwórku, nie było nic do zrobienia? Czy, również na własnym podwórku, nie można lepiej i taniej obrabiać otrzymywanych odlewów? Czy nikt na miejscu nie może pomóc Lubelskim Fabrykom Wag, aby drobne, ale precyzyjne odlewy dla nich można produkować w województwie, a nie szukać kooperantów po całej Polsce?

Zadziwiła mnie też, a miejscami przeraziła, olbrzymia liczba wniosków o charakterze inwestycyjnym. Tak na oko licząc zrealizowanie wszystkich tego typu wniosków musiałoby pociągnąć za sobą wydatkowanie co najmniej 60 miliardów złotych. Miliardów — a nie milionów. I to nie licząc tak pilnych potrzeb, jak gospodarka komunalna lub — o czym ani słowa nie znalazłem — budownictwo mieszkaniowe. Na jakiej planecie żyją autorzy, nawet jeżeli niektóre wnioski noszą charakter perspektywiczny, ograniczony jednak cezurą 10—15 lat? A czy np. w dziedzinie przyspieszenia realizacji budownictwa mieszkaniowego, obniżenia jego kosztów, a polepszenia jakości wykonania i funkcjonalności, nasi inżynierowie i technicy budowlani nie mieli nic do powiedzenia?

Podobnie ma się sprawa z wnioskami, postulującymi utworzenie wielu nowych jednostek. A więc powołanie: instytutu planowania przestrzennego; banku informacji dla biur projektowych; zespołu do rozpatrzenia powiązania systemów elektroenergetycznych USRR i Lubelszczyzny; centralnych wychowalni bujaków; związku hodowców bydła; placówki zajmującej się określaniem pozostałości pestycydów w produktach roślinnych i zwierzęcych; wojewódzkiego związku spółek wodnych; szkoły dla obsługujących wodociągi wiejskie; instytutu krajowego z oddziałami wojewódzkimi dla prognozowania rynku w zakresie zbytu, siły roboczej i rozwoju źródeł surowcowych; wojewódzkiego zespołu ekspertów dla konsultacji zamierzeń i planów rozwojowych zakładów — który to zespół przekształci się w samodzielne organizacje; wojewódzkiego ośrodka informatyki; biura doradztwa przy Prezydium WRN itd. itd.

Zdaję sobie sprawę, że specjaliści z danej dziedziny zdołają przekonać nie tylko mnie, że każda z tych jednostek jest pilnie potrzebna, że przyniesie takie lub inne korzyści. Może i prawda, nie czuję się powołany do rozstrzygania. Ale proszę spojrzeć na sumę tych postulatów, na realne, w najbliższym pięcioleciu, możliwości ich realizacji. Sprawy perspektywiczne? Oczywiście — ale czy nie mamy pilniejszych spraw bieżących?

Nie mogę również zgodzić się z postulowanymi niemal przez każdą sekcję wnioskami o rozszerzenie specjalizacji podczas studiów. Minęły naturalnie czasy, gdy inżynier czy technik był prawdziwym omnibusem. Dziś jest to po prostu niemożliwe. Ale nie popadajmy w przesadę, pragnąc obok specjalistów od budowy mostów drogowych mieć również specjalistów od budowy mostów kolejowych przez tworzenie odpowiedniego kierunku studiów. Powinien przecież wystarczyć jakiś kurs podyplomowy. Ileż tych mostów kolejowych budujemy rocznie w województwie? Rozumiem, że zaczęły się wytwarzać całe grupy zawodów technicznych — metalurdzy, mechanicy, chemicy itd., a potem w ramach tych grup różne specjalności. Ale czy nie doszliśmy do przesady, jeżeli inżynierów-mechaników podzielono u nas oficjalnie na 44 specjalności, inżynierów chemików na 46? Nawet rolnicy dorobili się 11 specjalności, nie licząc ogrodników, leśników, rybaków i melioratorów. Ta zbyt wąska specjalizacja wynika nie tyle z realnych potrzeb naszej gospodarki czy zbyt trudnych do opanowania przez jednego człowieka problemów, ile często z ambicjonalnych podziałów na wyższych uczelniach, gdzie każdy samodzielny pracownik naukowy za swój punkt honoru uważa stworzenie odrębnej, swojej specjalności i to przez całe 4 czy 5 lat studiów. No bo inaczej nie byłby, we własnym pojęciu, samodzielnym pracownikiem naukowym...

A czego nie znalazłem we wnioskach przedkongresowych?

PIWNICA

Ciąg dalszy ze str. 1

Adamowa, a z nią tamtejszy lekarz, Lucjan Piszcz. Spojrzał i powiedział do Tychmanowicza: „Panie doktorze, nie ma co, to już od dawna trupy". Pomruk niezadowolenia przebiegł przez grupę mieszkańców wsi. „Ratować, ratować póki się da, oni żyją" — pokrzykiwano.

Lekarz pogotowia ma obowiązek spisać dane osobiste osób, do których go wzywano, oraz przebieg choroby czy wypadku. Zmarłymi byli: Teodor Cienkus, lat 35, właściciel owego gospodarstwa, Jan Biaduń, lat 27, mieszkaniec tejże wsi, brat żony Teodora, oraz Jan Cienkus, lat 40, brat Teodora, mieszkaniec pobliskiej kolonii Charlejów. Wszystko wskazywało, że zgon spowodowało zatrucie jakimś gazem. Ale jakim? Może czadem?

— Kto wie, jak to się stało? — spytał Tychmanowicz.

Kilkudziesięcioosobowa grupa na podwórzu zamilkła.

— No, kto wie? Może pan? Może pani? — zwracał się bezpośrednio do najbliżej stojących.

— Nie, nie wiem, panie doktorze. Nic nie wiem. Przyszedłem dopiero co — odpowiadali.

Lekarz odszukał żonę Teodora.

— Jak to się stało, proszę pani?

— Nie wiem, panie doktorze.

— Ale co oni robili? Spali przy piecu?

— Nie, nie spali.

— Więc jak? Narzekali, że coś ich boli, a potem stracili przytomność? Jak to było?

— Nie wiem, panie doktorze. Naprawdę nic nie widziałam.

— Jak to, nic pani nie widziała? — zaczął się denerwować lekarz. — Gdzie się przewrócili? Kto ułożył snopki na podwórzu? Kto położył na nich męża, brata i szwagra? Kto zdjął im buty i rozpiął ubrania?

— Nie wiem.

— A co pani wie? Jak się pani dowiedziała o wypadku?

— A to było około ósmej wieczorem. Siedziałam dłuższy czas z dziećmi w domu, a potem czegoś wyjrzałam przez okno i zobaczyłam, że leżą tak jak teraz na słomie. Wyleciałam z domu, patrzę, nie ruszają się, narobiłam krzyku i przybiegli ludzie.

Nie jest dziś rzeczą zwyczajną znalezienie w Polsce trzech ludzi, którzy nie wiadomo kiedy i jak zmarli. Doktor Tychmanowicz spróbował dowiedzieć się czego od człowieka, który zawiadomił pogotowie.

— Gdzie jest ten czwarty?

— Jaki czwarty?

— Ten czwarty zatruty?

— Jaki czwarty? Nie wiem o żadnym czwartym.

— Dzwonił pan, że jest czterech zatrutych.

— Ja tak mówiłem? Pan się musiał przesłyszeć, panie doktorze.

— Upewnialiśmy się jeszcze dwukrotnie, mam świadków. Mówił pan o czterech zatrutych.

— Ja tak mówiłem? — zdziwił się Czyżo. — To znaczy musiałem się przesłowić, albo pomylić.

To już był nie tylko wypadek, ale także zagadka. Obecność przedstawicieli prawa okazała się więc bardzo potrzebna, choć początkowo nie wnosiła nic. Milicjanci wypytujący mieszkańców wsi i krewnych ofiar otrzymywali te same wyjaśnienia, które słyszał lekarz. Pojęcia mieszkańcy i krewni pokrywają się zresztą, gdyż w Poznaniu prawie wszyscy są ze sobą związani pokrewieństwem. Małżeństwa zawiera się na ogół z członkami dalszej rodziny. Żona Teodora Cienkusa z domu jest Biaduń, ale jej matka — z domu Cienkus. Wieś jest niewielka, trzydzieści kilka gospodarstw, izolowana od innych nie tylko odległością, lecz i lasem.

O godzinie 23 na miejsce wypadku przybył prokurator powiatowy Władysław Wójcicki oraz inspektorzy i technicy z Komendy Powiatowej MO. Przywieźli reflektory do oświetlenia podwórza. Znów zaczęły się przesłuchania. Bez skutku. Jak zwykle w takich sprawach robiono dokumentację fotograficzną i szkice sytuacyjne. I w pewnej chwili starszy sierżant Tadeusz Kalicki z posterunku w Adamowie, ciągnąc taśmę pomiarową przez podwórze, poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Zapadł się do połowy łydek. Pod warstwą śmieci i błota ziemia była sypka, świeżo przekopana. Kilkanaście ruchów łopatą odkryło klapę o wymiarach metr na 90 centymetrów. Milicjanci podnieśli klapę. Pod nią było jakieś pomieszczenie podziemne. Na dnie leżała zapalona latarka elektryczna, oświetlająca wielkie beczki oraz poniewierające się bezładnie czapki i gumowe buty.

— Bimber! Nic innego tylko bimber! Jak Boga kocham, że ja tego nie znalazłem wcześniej! — krzyknął Kalicki. Przykucnął, oparł się rękami o brzegi otworu i chciał wpuścić nogi do środka.

— Nie skacz! — zabronił stanowczo komendant posterunku, starszy sierżant Eugeniusz Rogulski. — Trzeba wejść ostrożnie, po drabinie.

I tym uratował mu życie. Bo gdy po chwili Kalicki zaczął opuszczać się po drabinie, zaledwie głowa jego znalazła się poniżej poziomu ziemi, nagle złapał się za twarz i jak oszalały wyskoczył na powierzchnię.

— Przestraszyłeś się? — spytali koledzy.

Była w tym lekka kpina. Kalicki nie odpowiadał. Oczy miał wywalone na wierzch, ustami szeroko otwartymi łapał gorączkowo powietrze, niby coś mówił, lecz nie było słychać. Lekarz dał mu pigułkę, kazał popić wodą, siąść i odpocząć. Po pół godzinie sierżant odzyskał głos.

— Jakby złapało mnie za gardło. Nie mogłem oddychać. W jednej chwili zacząłem się dusić. Pierwszy raz w życiu miałem takie uczucie — opowiadał. Oczy zaczerwieniły mu się jak przy ostrym zapaleniu spojówek. Potem zaczął wymiotować i trwało to, z przerwami, do rana.

Teraz sprawa stała się jaśniejsza. Wiadomo, że przy produkcji samogonu z zacieru wydziela się dwutlenek węgla, gaz trujący, przy silnym stężeniu porażający natychmiast drogi oddechowe. W piwnicy musiała być olbrzymia ilość zacieru, wentylacji żadnej, zresztą dwutlenek węgla jest cięższy od powietrza, nie ulotni się szybko nawet przy podniesionej klapie. Kto tam wszedł, mógł ponieść śmierć na miejscu. Dalszy przegląd pomieszczeń gospodarskich Cienkusa pozwolił odkryć w budynku parnika wiadro pełne zacieru. Pokrywa kotła, służącego zazwyczaj do parowania ziemniaków dla świń, oblepiona była ciastem. Oblepianie stosuje się zazwyczaj dla uszczelniania kotła przy pędzeniu bimbru.

Po doświadczeniu Kalickiego postanowiono nie wchodzić do owej piwnicy do czasu przyjazdu techników z aparatami tlenowymi. Lecz odkrycie rozwiązało trochę języki domownikom Cienkusa. Żona Genowefa przypomniała sobie, jak to było. Teodor wszedł po zacier, padł jedno wiadro do góry i upadł bez przytomności. Pomagający mu w pracy Biaduń zeskoczył wtedy do środka i też upadł bez oznak życia. Genowefa, która widziała to wszystko, pobiegła do domu i sprowadziła na ratunek szwagra, Jana Cienkusa. Jan znalazł się tam przypadkowo, przyszedł 10 minut przedtem do swej matki, 72-letniej Władysławy, od dawna niedomagającej, by dowiedzieć się o jej zdrowie. Kiedy i on zeskoczywszy do piwnicy stracił przytomność, Genowefa narobiła alarmu. Przybiegli na pomoc sąsiedzi. Wydobyli Cienkusów i Biadunia.

Na pytania kto wydobywał, a potem kto układał na słomie na podwórzu, kto zamknął piwnicę i zamaskował ponownie wejście, odpowiadała, że nie może sobie przypomnieć. To samo mówiła, gdy chciano się dowiedzieć, kto próbował udzielić pierwszej pomocy — a porozpinana odzież wskazywała, że przeprowadzano sztuczne oddychanie.

Odkrycie bimbrowni nikogo z przybyłych nie zdziwiło. Teodor Cienkus od dawna miał opinię producenta samogonu na dużą skalę. Kilka lat temu tenże sierżant Kalicki, idąc u Cienkusa przez podwórze, nieoczekiwanie znalazł się po pas w zacierze. Trzy beczki, po 200 litrów każda, zakopane były w ziemię, przykryte deskami i przysypane plewami. Sprawę umorzono z tytułu amnestii. 11 grudnia 1970, na dwa dni przed wypadkiem, Kalicki znów szukał bimbru w zabudowaniach Cienkusa. Nie znalazł nic. Być może, gdyby odkrył tajemniczą piwnicę, on byłby ofiarą.

Milczenie ludzi z Poznania też nikogo nie zdziwiło.

Kamena str. 6

W latach 1950—1969 Lubelszczyzna otrzymała w gospodarce uspołecznionej nakłady inwestycyjne w sumie ponad 80 miliardów zł. Jeżeli wskaźnik wartości inwestycji roku 1950 przyjmiemy za 100, to dla roku 1969 w skali krajowej otrzymamy wskaźnik 521, a dla naszego województwa 584. Znaczy to, że w dziedzinie inwestycji zmniejszaliśmy jednak dystans, dzielący nas od reszty kraju. Ale czy rzeczywiście zrobiliśmy wszystko, już sami u siebie, aby te wielkie nakłady najbardziej racjonalnie wykorzystać? Czy tak trudno byłoby wskazać, które z tych inwestycji wciąż jeszcze, przynajmniej w części, pracują metodą ekstensywną? Albo te kosztowne instalacje i maszyny, które wskutek jednozmianowej pracy wprawdzie prawidłowo amortyzują się w księgowości, ale równocześnie — starzejąc się moralnie — nie przynoszą takich korzyści, jakich się powinno od nich spodziewać?

Dlaczego — niech będzie kilka konkretnych przykładów — przetwórz terenowy wciąż produkuje w Chełmie właśnie dla rolnictwa według wzoru, sporządzonego przez jej wynalazców w Chinach przed 400 laty? Co się dzieje z tak szeroko przed kilku laty reklamowanymi maszynami lubelskich Zakładów Mięsnych, importowanymi za dewizy, które miały pakować w folię małe porcje wędlin? Czy nauka i technika rzeczywiście są bezradne wobec decydeń w kulkowni KFWM? Czyż trzeba było dopiero listu Sekretariatu KC PZPR, aby w FSC zajęto się bliżej znanymi od wielu lat niedomaganiami wentylacji w odlewni? Świdnicka WSK wchodzi do klubu eksporterów, ale nie dzięki motocyklom. Tygodnik „Motor" wielokrotnie wytykał naszej fabryce, że produkowane tam motocykle nie są najwyższej jakości i że to właśnie hamuje ich eksport. Czy inżynierowie i technicy WSK oraz działającego przy nim Zakładu Doświadczalnego nic na ten temat nie mają do powiedzenia? Dlaczego Lubelska Fabryka Maszyn Rolniczych od trzech lat nie może ostatecznie załatwić sprawy wynalazku, mimo że wyłożyła pewne sumy na realizację prototypu, który został opatentowany, a wciąż nie może znaleźć się w produkcji?...

Byłbym, oczywiście, niesprawiedliwy i wobec naszego przemysłu jako całości, i wobec naszej kadry technicznej, gdybym nie widział ich osiągnięć. Ale dziś, gdy na wiele spraw trzeba spojrzeć szczególnie badawczo, mówić trzeba nie tyle o osiągnięciach, ale właśnie o tym, co dla dobra rynku wewnętrznego i eksportu należy poprawić, zwiększyć, uzupełnić, jeszcze bardziej ulepszyć.

Poprzedni Kongres Techników odbył się przed 5 laty w Katowicach. Sprawozdanie powiada, że olbrzymia część wniosków, wysuniętych wtedy w dyskusji przedkongresowej, została wykonana. Rzeczywiście, od tego czasu zrobiliśmy wiele kroków naprzód, chociaż były i w... bok. Ale inne kraje też nie stoją w miejscu. Ostatnio zaś przekonaliśmy się, że ważną jest nie tylko sama produkcja, ale przede wszystkim tworzący ją człowiek i jego potrzeby. Wytworzyła się tu jakaś próżnia, którą teraz trzeba szybko, mądrze, skutecznie wypełnić. Na dyskusję, na podjęcie pierwszych rozwiązań mamy jeszcze 5 miesięcy czasu. Wykorzystajmy ten czas w możliwie najlepszy sposób.

Jerzy Dostatni

Malarstwo Jana Popka

Gra bez końca

JANA POPKA uznawano dotychczas w środowisku lubelskim za grafika, jako że tym właśnie gatunkiem ujawnił się publicznie po przybyciu do naszego miasta. Uznawano go przy tym za grafika niezbyt rasowego, ponieważ odstawiwszy ad acta przeróżne smaczki walorowe i eleganckie fakturki, budował swoje prace przy pomocy tak skromnych i prostych środków formalno-warsztatowych, że sprawiały one na poniektórych koneserach wrażenie szybkiego zarysu zaledwie, koncepcyjnej notatki do tzw. skończonego dzieła graficznego. A ów zarys był przecież pełną wypowiedzią młodego artysty, przynależnego do pokolenia, które wyciągnęło osobiste wnioski twórcze zarówno z najnowszej tradycji sztuki, jak i z charakteru dzisiejszego życia.

To pokolenie chciało żyć szybko i żyje szybko — na sposób swój własny, mocno rozbiegany i profilowany szczególnym kodeksem obyczajowym, mocno irytującym starszą generację, lecz sformułowanym w okolicznościach całkiem nieprzypadkowych, w momencie, kiedy historia uporządkowała i zwolniła rytm swego biegu, przystając na ujawnienie się ludzkich indywidualności. W międzyczasie zdążyła jednak przemeblować nieco systemy wartości, roboty tej nie kończąc.

To pokolenie jest nieufne, lecz neurastenicznie wrażliwe, skłonne do histerii, ale i do racjonalnej oceny rzeczy. Demonstrując niechęć do wczorajszych wartości artystycznych, z sympatią odwraca się do odległej przeszłości sztuki, często cytując w swoich pracach np. fragmenty dzieł renesansowych i barokowych. Tacy młodzi malarze jak Jan Popek najuważniej przecież obserwują najbliższe otoczenie i siebie samych.

Prawda, trzy lata temu pokazał Popek kilka abstrakcyjnych, wyrafinowanych kolorystycznie rysunków, lecz były to w istocie reminiscencje studiów z warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, nastrojowe etiudy na niewielkich karteluszkach, rozproszone już po ludziach. Ładne były.

Obecnie Jan Popek wystąpił z ekspozycją obrazów. Właśnie wystąpił, inaczej tego faktu nie da się określić, mamy bowiem do czynienia z demonstracją obezwładniająco szczerą i zdecydowaną, nie liczącą się z żadnymi doraźnymi względami. Demonstracją kpiny, goryczy, pożądań, lęku, groteski, miłości i okrucieństwa, zamkniętą w kilku wypadkach w starej formule martwej natury.

W obrazach holenderskich mistrzów martwych natur, którzy awansowali banalne przedmioty do rangi obiektów godnych uwagi artysty, dzbanki, noże, patery, cebula i kapusta — to wszystko użyteczne i użytkowe przeistaczało się na płótnach w nierealność, stawało się barwnym tonem lirycznego widzenia twórcy, nie tracąc jednak swej zmysłowej urody. Urody rzeczy stworzonych dłonią człowieka lub natury.

Popek maluje m. in. rzeczy martwe od początku, sztuczne, stworzone przez maszyny, maluje świat sobie współczesny, na którym coraz trudniej odnaleźć bezpośredni ślad ludzkiej ręki. Przedstawia fikcje, zalecające się fałszywym kolorytem opakowań reklamowych, które bardziej nas pociągają, niż sama zawartość... Twarze kobiece to niby wklejone niby-solaryzacje modelek z czasopism w rodzaju „Ty i Ja" czy „Elle", a śruby wkręcone w skrzypce można by zreprodukować w katalogu jakiejś centrali handlowej...

Maluje suchymi temperami na niemieckim bristolu. Płasko, plakatowo, komiksowo, piekielnie kolorowo, miejscami secesyjnie. Uzyskuje w ten sposób niezwykłą ostrość szczegółów, uderzeniową atrakcyjność przedmiotów, bo tego wymaga skuteczność działania witryny sklepowej, nachalnie zaczepiającej przechodnia.

W przewrotnej fetyszyzacji jakiegoś przedmiotu posługuje się też, profan, zabiegiem znanym malarstwu ikon, wprowadzając do niektórych obrazów neutralne, geometryczno-abstrakcyjne tła. Kilkaset lat temu na złotych płaszczyznach rysowały się uduchowione twarze świętych pańskich, dzisiaj — pastelowe powierzchnie wynoszą na piedestał absolutnych wartości paczkę OMO i zdeformowane piersi kobiece!

Przedmioty, trywialne przedmioty: ładnie opakowane proszki do prania, odkurzacze, jakieś śruby, krany, rury, gwoździe, koła samochodowe. Rozrzucone jednak perwersyjnie na żywej tkance, na anatomicznych preparatach części kobiecego ciała, przenikające je ostrymi kształtami, albo uzyskujące biologiczną elastyczność, bez ostatecznego zatarcia cech sztucznej przedmiotowości!

W obrazach Popka niknie granica między żywym a martwym, między narządem a narzędziem. Pokarbowana rura, wprowadzona w ściankę skrzypiec o klarownym kształcie, może być znakiem fallicznym. Pokraczne stwory, wylewające się z żółtawych skrzyń, mogą być znakami ludzi...

Tak przedstawia się to wszystko z zewnątrz, po pobieżnej analizie szczegółów, ich najbliższego sąsiedztwa, po wstępnej inwentaryzacji rekwizytorni obrazów i takiej próbie odczytania ich znaczeń. Lecz malarstwo to, tak wielopostaciowe i wielowątkowe w swych treściach, organizujących wyobraźnię i wrażliwość pewnego pokolenia, którego nieprzeciętnym już reprezentantem jest Jan Popek, podlega rygorom czegoś w każdej twórczości szczególnie istotnego przy określaniu autorskiej indywidualności i artystycznej siły dzieła: rygorom klimatu emocjonalnego.

Intrygujące skomplikowanie tego malarstwa odnajduje wspólny mianownik w atmosferze erotyzmu, potęgowanej momentami brutalnie czytelnym znakiem seksualnym. A jest to erotyzm odarty z wszelkich społeczno-obyczajowych mitologizacji, w jakiś sposób czysty, obnażony do swojej istoty, tożsamej ze spięciem odrębnych wartości i sił, spięciem oczekiwanym, koniecznym, lecz bolesnym, bo w gruncie rzeczy nie dającym spełnienia indywidualnych, głęboko skrywanych pragnień. Krotyzm tych obrazów przypomina koszmarną grę bez końca, w której nie może być radości, mogą natomiast być doraźne satysfakcje o posmaku sado-masochistycznym, zaprawione nerwowym chichotem.

Klimat, atmosfera emocjonalna — tak, to klucz już wyszczerbiony przez zbyt częste używanie, przy byle okazji, a przy tym mało przydatny w momencie obiektywizacji tak złożonej rzeczy, jaką jest dzieło sztuki. Jeśli jednak zawodzą próby ćwiartowania obrazów nawet przy pomocy teorii informacji?! A poza tym w jaki sposób uchwycić istotę malarstwa, które w odbiorczej wyobraźni przywołuje scenerię aseptycznej kliniki z pacjentem na stole chirurgicznym, który w chwilę po operacji chwyta nagle za leżący obok skalpel, wbijając go w szeroki zad pielęgniarki, po czym z cierpkim uśmiechem prosi o fajkę z tytoniem „Amphora"?!

Gdyby zapytać Jana Popka, czy malarstwem swym chce wymierzać sprawiedliwość widzialnemu światu, komentować ogólnoludzkie i ontologicznie zasadnicze problemy, odpowiedziałby zapewne: „To nie dla mnie, panowie, to dla masełbasów!" Osobiście upieram się jednak, że jego malarstwo znacznie przekracza granice samego malarstwa, jest artystycznie pełnym świadectwem określonego czasu.

O „masełbasach" przecież mam identyczne zdanie, bo nie brak wśród młodej generacji pozerów, celujących w najwyższe rejony humanizmu i historii przy pomocy nieporadnie wymalowanych fallusów, i robiących z tego tzw. filozofię. Taka „filozofia" nie obchodzi lubelskiego malarza, obchodzi go artystyczna uczciwość, polegająca na zgodności wewnętrznych przekonań i odczuć z treścią obrazowego przekazu.

IJK

Nie tylko jednego Cienkusa z tej wsi władze podejrzewały o bimbrownictwo. Ale od podejrzenia do znalezienia dowodu winy — droga daleka. We wsi Poznań, powiązanej ze sobą pokrewieństwem, nikt nic nie powie obcemu. I jeśli zajeżdża tu czasem na kontrolę milicja, to zawsze bez trudu można zauważyć, jak szybko biegną dzieci od domu do domu z wiadomością o gościach. Bimber pędzą także w sąsiednich wsiach. Dostarcza się go głównie do Warszawy. Handlarze, zarówno miejscowi jak i warszawscy, złapani przez milicję, też nic nie wiedzą. „Jechałem, a tu nieznany mi człowiek powiedział, że kupił za dużo wódki na wesele córki i może mi trochę odprzedać po niższej cenie. No to kupiłem. Nie wiedziałem, że to samogon. Przelałem do bańki, bo butelki mogą się zbić".

Doktor Tychmanowicz jadąc do Poznania spodziewał się, że ofiary mogły pić samogon. Producenci w celach zwiększenia zysku rozcieńczają go dużymi ilościami wody, a chcąc zachować ostry smak i „moc", dodają karbidu, mocznika czy innych nawozów sztucznych. Stąd częste zatrucia, a nawet zgony po wypiciu niewielkich dawek.

Dlatego był zaskoczony objawami śmierci przez zagazowanie. Opuszczając Poznań spotkał mężczyznę wyglądającego na kogoś po ostrym zatruciu gazem. Ten jednak nie dał się zbadać, a przyznawał jedynie, że wypił większą ilość alkoholu. Kupionego oczywiście w sklepie. Może to był ów czwarty?

Doktor Aleksander Iwaszkiewicz z Katedry Medycyny Sądowej w Lublinie, który nazajutrz przeprowadzał w szpitalu łukowskim sekcje zwłok zmarłych, potwierdził, iż przyczyną zgonu był dwutlenek węgla o takim stężeniu, że jeden lub dwa oddechy powodowały natychmiastową śmierć. Teodor Cienkus i Biaduń prawdopodobnie zginęli na miejscu, Jan Cienkus opierał się trucizinie najdłużej, poruszał się jeszcze po wyjściu na powierzchnię, być może dlatego, że jako jedyny z całej trójki nie pił w tym dniu alkoholu. Może dlatego, że najkrócej przebywał w piwnicy. Bo jeśli chodzi o ogólny stan organizmów, to wszyscy trzej byli zdrowi, dobrze zbudowani, bez śladów chorób, bez żadnych uszkodzeń narządów wewnętrznych.

„Przekroczyli prawa boskie i państwowe. Ale to była niepotrzebna śmierć trzech młodych, silnych mężczyzn, którzy chyba za bardzo wierzyli w swe siły. Opłakujemy ich, a ich rodzinom współczujemy w tym wielkim nieszczęściu" — powiedział proboszcz parafii Serokomla, ksiądz kanonik Marceli Stokowski, na pogrzebie, który zgromadził ponad tysiąc osób. Cienkusów i Bindunia pochowano obok siebie, tak jak wtedy, gdy leżeli obok na snopkach. Na dużym serokomlskim cmentarzu prawie wszystkie grobowce są kamienne. Parafia nie jest biedna.

— Czy ksiądz wiedział, że Cienkus pędzi bimber? — pyta teraz reporter, dwa tygodnie po wypadku. Pytanie jest bezsensowne. Nawet gdyby pleban wiedział, nie powie. Każdemu księdzu zależy na dobrych stosunkach z parafianami.

— Nie, nawet nie domyślałem się — odpowiada proboszcz. — Uważałem go za wzorowego człowieka. Dobry mąż, dobry ojciec, dobry gospodarz, dobry katolik, a przy tym i działacz społeczny. Cała wieś go ceniła. Władze na pewno powiedzą panu to samo.

Sekretarz GRN w Serokomli, Mieczysław Goździak, potwierdza tamtą opinię. W Poznaniu nie działa żadna organizacja. Ani komórka PZPR, ani ZSL, ani ZMW czy Koło Gospodyń Wiejskich. Ale to wieś dobra. Z podatkami nie zalega, z obowiązkowymi dostawami też nie, nawozy kupuje, w tamtejszym punkcie bibliotecznym zawsze jest kolejka po książki rolnicze i inne popularnonaukowe. Jest to wieś średniorolnych, 4—8 hektarowych gospodarstw. Ziemia kiepska, jednak kultura rolna stosunkowo wysoka, stąd niezłe plony, niezły poziom życia. Coraz to ktoś się buduje. Wiosną 1970 roku wieś zelektryfikowano. Nie ma tu sporów o miedzę, bójek, awantur, a jeśli jakieś są, chłopi załatwiają je w końcu między sobą, po sąsiedzku, po rodzinnemu, nie ciągają się po sądach i prokuraturach. Taki już mają tam ludzie charakter. Lecz dużo to była zasługa i Teodora Cienkusa, radnego do GRN, głównego organizatora wsi do czynów społecznych i innych działań. Szwagier, Jan Biaduń, też miał taką żyłkę. To za jego sprawą, choć młody, powstało niedawno kółko rolnicze. Biaduń został prezesem. Śmierć obu, to strata dla całej wsi. Podejrzenia o pędzenie bimbru były, owszem, sekretarz nie zaprzecza, zresztą wtedy Kalicki nakrył Cienkusa. Jednak nieszczęście jest nieszczęściem.

Wszyscy chętnie podkreślają zasługi zmarłych. We wsi jest szkoła 4-klasowa, a w niej 15 dzieci. Władze chciały zlikwidować ją. W takiej szkole trudno utrzymać odpowiedni poziom nauczania. Tylko jakże kazać 7-latkom chodzić w śnieg, deszcz, mróz i zawieje codziennie 4 km do Serokomli i 4 z powrotem, przez pole, przez las? Teodor Cienkus buty zdarł w tej sprawie. Dom budował i zamiast pilnować roboty, jechał do powiatu. W końcu uzyskał decyzję o pozostawieniu szkoły.

Nauczycielka, Maria Szczepańska, uczy w niej 11 lat. 7 lat mieszkała we wsi, Teodora znała, wartościowy człowiek. Jego starsza córka chodzi do 4 klasy, uczy się bardzo dobrze, ojciec zwracał na to mocną uwagę. Nie, o tym, żeby kto w Poznaniu pędził bimber, nauczycielka nie słyszała.

Trudno się dziwić, że nie mówi inaczej.

W tej okolicy w ogóle niechętnie mówią o wyrabianiu samogonu. Na polnej drodze samochód z reporterem wpada do niewidocznego pod śniegiem rowu i wywraca się na bok. Nadjeżdżają dwie pary sań, na każdej po kilku mężczyzn. Pomagają postawić samochód na koła, pytają się, czy nikomu z pasażerów nic się nie stało. Są życzliwi, jak wszędzie na Podlasiu.

— Pan daleko?

— Do Poznania.

— Prywatnie, czy w jakiejś sprawie?

Kiedy dowiadują się, przepraszają, śpieszno im, żałują, że nie zdążą wypchać samochodu na drogę. Żegnają się uprzejmie, odjeżdżają. Może takie tematy należy omawiać w mniej urzędowej atmosferze? Wieczorem, przy herbacie, w domowym zaciszu, po kilku odprężających anegdotach, dość niepoślednI obywatel Serokomli prawi reporterowi:

— Wiesz pan, bimber robi się głównie z cukru. Najmniej kłopotu, żadnych odpadków, jakie są przy kartoflach lub życie.

— Z żyta można zrobić wytrawne wino. Dobre do popijania, do potraw.

— Siki, a nie napój. Wiesz pan, jakie wino jest najlepsze? Kupuje się parę kilo landryn, trochę cukru... Kropniemy po jednym?

Nazajutrz znów jest milczenie. Eugeniusz Sypniewski, listonosz gromadzki, nie pyta przy wynajmowaniu sań, do kogo i po co. Do Poznania? Może być do Poznania, grosz zawsze przyda się. Listonosz zna okolice Serokomli jak własną kieszeń. Odpowiada chętnie. Kto ma jaką żonę, kto najwięcej dzieci, komu się co zabawnego wydarzyło. Mówi ładnie, barwnie, tylko nagrać na taśmie i audycja dla radia gotowa. O wypadku też wie dużo. Że się zatruli, że w podwórzu znaleziono tajną piwnicę, że był huczny pogrzeb...

— A jak to było naprawdę, zanim przyjechało pogotowie?

O, o tym nie słyszał, tego nie wie. Że pędzili bimber, też nie wiedział. Ma się rozumieć, na wsi czasem robią. Może kto w okolicy. Jak to na wsi. Ale tak konkretnie, to skąd się można domyśleć?

Dwadzieścia stopni mrozu. Koń, zwany Kajtkiem, bucha kłębami pary. Mądra szkapa. Sam ściąga sanie z koleiny w śnieg, by ominąć dzieci idące do szkoły. Ech, dobrze, że Teodor załatwił pozostawienie czterech pierwszych klas we wsi.

A oto i Poznań. Zabudowa gęsta, wzdłuż jedynej drogi, sporo domów nowych, lecz stare też porządnie utrzymane. Na samym końcu zagroda Biaduniów. W otwartych drzwiach stodoły stoi gospodyni. Kufajka nie dopina się jej na brzuchu. Za trzy tygodnie Genowefa Biaduń będzie rodzić. Na razie rżnie sieczkę, że pot kapie z czoła. Chyba to niedobrze, ale krowa i cztery świnie muszą być nakarmione. Kto to zrobi? Gospodarstwo jest 7-morgowe. Co będzie latem, gdy przyjdzie do prac w polu, nie wiadomo. Ojciec Genowefy, Bronisław Kieliszek, ma lat 58, gospodarzy na swoim. Jest słabego zdrowia; dotychczas pomagał mu zięć. Matka męża, Maria Biaduń, już starsza, wyprowadziła się po śmierci Jana do córki po Teodorze Cienkusie. Może sąsiedzi, i krewni zarazem, nie dadzą zginąć Biaduniowej? Przecież Jan tyle wysiłku i czasu poświęcił dla wsi, dla kółka rolniczego. Bywało, że przez to swego nie dopatrzył. Lubili go wszyscy.

Genowefa zaprasza do domu. Stary, jeszcze z ubiegłego wieku, z solidnych, żywicznych bali, trzyma się dobrze. W dużej izbie kołowrotek. Gospodyni nie lubi marnować czasu. W dziecinnym łóżeczku wierci się roczna Teresa. Pilnuje jej 4-letni Krzysio. Na ścianie fotografia ślubna Biaduniów. Przystojny był chłop, Jan. Oglądała się za nim niejedna dziewczyna. Genowefa nie zwracała na to specjalnej uwagi. Sąsiad, rówieśnik, chodzili do jednej klasy, traktowali się trochę jak rodzeństwo. Potem nagle wybuchła miłość i wzięli ślub. Dobrze im było ze sobą. Może tylko trochę za mało siedział w domu. To nawozy załatwiał dla wsi, to wynajem traktoru, to znów coś. W ów czarny dzień też poleciał po południu. Dzieci usnęły, więc i ona położyła się. Lekarz nakazał, żeby dużo wypoczywała. Nagle, o dziesiątej wieczorem, obudziły ją sąsiadki: „wstawaj, Janek nie żyje".

Dokończenie na str. 8

PIWNICA

Dokończenie ze str. 7

— Dlaczego nie zabroniła pani mężowi przykładania ręki do bimbrowni? To przecież nielegalne. Gdyby go złapali, poszedłby do więzienia?

— Czy chłop usłucha, jak baba mu mówi? Żaden za kołnierz nie wylewa, ciągnie go do takiej roboty. Ja czułam, że to się może źle skończyć.

W głosie Genowefy brzmi żal, że nie słuchał jej, że teraz została sama, z małymi dziećmi. A tu podatki, obowiązkowe dostawy. Co innego, gdy żył Janek, wszystkiemu dawał radę. Zaczyna cicho płakać.

— Pisała pani do gromadzkiej rady o zniżki na rok 1971?

— Dadzą? — W tym pytaniu jest świadomość, że to nie był zwykły, nieszczęśliwy wypadek. Jest zrozumienie pewnej odpowiedzialności. I to samo odczuwa się przy spotkaniu z Genowefą Cienkus, wdową po Teodorze, choć w rozmowie ani razu nie pada słowo „wina". Prawo przestało się zajmować tą sprawą. Winni potajemnego wyrabiania alkoholu ponieśli śmierć. Jeśli to była kara losu, to niewspółmiernie wysoka. Pozostały wdowy i sieroty, które trzeba wychować.

Cienkusowie byli 13 lat małżeństwem. Wszystko im się udawało. Starsza córka, 11-letnia Henryka, uczy się wzorowo. Młodsza, Zosia, ma 6 lat, a już czyta. Przez pięć lat zbierali materiał na budowę nowego domu, potem w maju rozebrali stary, a we wrześniu mieszkali już w nowym. Murowany, cztery pokoje z kuchnią. Zostało jeszcze do spłacenia w banku 25 tysięcy i coś tam w PZU. Wzięli w dzierżawę kawałek cudzego pola, żeby szybciej spłacić.

— I co teraz? Miałam 17 lat, gdy wychodziłam za mąż, zdaje mi się, że to tak niedawno, niedługo cieszyłam się swoim szczęściem. Trudno uwierzyć w śmierć Teodora. W Boże Narodzenie, jak były święta, Hania cały czas pod piecem w domu przesiedziała. Patrzę, książkę trzyma w ręku, a godzinami kartek nie przewraca. Mówię jej: córuniu, idź się pobawić z dziewczynkami. A ona w płacz. „Mamusiu, po co pójdę, wszystkie mają tatusiów, tylko ja jedna nie".

Genowefa ukradkiem wyciera łzę. Nie lubi rozczulać się.

— W gorszym położeniu niż ja i Biaduniowa została Helena, wdowa po bracie męża. Ma 16 mórg. Sama nie obrobi, choć w gospodarstwie są dwa konie i różne maszyny. Helena jest rok starsza ode mnie, silna, zdrowa, ale to nie praca dla kobiety. Dzieci też jeszcze za małe żeby pomogły, jeden chłopiec ma lat 13, drugi 10, córka 6. Mieszka na kolonii, z dala od ludzi. Jak ona będzie żyć?

— Proszę pani, mąż nie pierwszy raz pędził bimber. Musiał wiedzieć, że przy tym wydzielają się szkodliwe wyziewy...

Wzruszenie ramion. Gdy się idzie po śliskim, można złamać nogę — czy to znaczy, że lepiej było nie wstawać rano z łóżka?

— A jak doszło do tego, że w ogóle zaczął pędzić samogon?

Wątła nić porozumienia pomiędzy gospodynią a przybyszem nagle pęka. Cienkusowa zamyka się w sobie, ton odpowiedzi nie zachęca do dalszej rozmowy:

— Chyba to nie takie straszne przestępstwo? Roboty w polu teraz nie ma, długi spłacać trzeba. Miał czekać z założonymi rękami do wiosny? Zresztą ja mało się wtrącałam, Teodor nie chciał mnie narażać. Wszystko już wyjaśniłam prokuratorowi.

Czy pytać dalej? Dociekać szczegółów, nieistotnych dla prawa, a istotnych dla opinii społecznej, bo pomocnych w zrozumieniu postaw? Milicja zalała naftą te 600 czy 800 litrów zacieru, spod śniegu nie widać nawet śladów zasypanej piwnicy. Dla rodzin jednak jest to ciągle świeża sprawa. Milczenie może być równie dobrze zachowaniem tajemnicy, jak i niechęcią do rozdrapywania świeżych ran. Czy obcemu wolno ryzykować to drugie?

A co mówi wieś?

Nic. Wieś nie wie nic. Nikt nie widział, jak to się stało, nikt nie maskował piwnicy z zacierem przed przybyciem pogotowia, nikt nie kładł ofiar na snopkach słomy.

— Może sołtys coś wyjaśni?

Stara kobieta stojąca przed solidną chatą, zagadnięta na chybił — trafił, dziwi się temu przypuszczeniu:

— Iii, skądby wiedział? Na pewno nie. Przyszedł już po wszystkim. Nie ma po co do niego jechać.

Sama ani domyśla się, jak to mogło być.

Sołtys, Antoni Kieliszek, jest nieobecny. Pojechał ze Stanisławem Borzęckim do Serokomli. Po śmierci radnego i prezesa kółka rolniczego cały obowiązek troski o interesy publiczne wsi spadł na sołtysa. Może to nawet wstyd zawracać mu głowę sprawami już zamkniętymi? Tyle jest przecież ważnych bieżących.

Późnym wieczorem w serokomlskim Klubie Rolnika do reportera przysuwają się trzy cienie. Nie widać twarzy, bo przed godziną wyłączono prąd, a jedna świeczka choinkowa to za mało na dwie sale.

— Czy mógłby pan pójść z nami, porozmawiać?

Na dworze, na tle śniegu, cienie nabierają bardziej materialnego wyglądu. Prowadzą do budynku Gromadzkiej Rady Narodowej. W pokoju przewodniczącego na biurku dwie jasne świece, wiejska szynka, chleb, masło, herbata i odkorkowana ćwiartka z etykietką spirysusu. Nalewają po kieliszku.

— Na rozgrzewkę! Musiał pan nieźle zziębnąć na saniach? Jest teraz 23 stopnie mrozu. Prosimy, to wódka, tylko butelka po spirytusie.

Przybyszowi wódka wydaje się dziwna w smaku. Pewnie sugestia. Samogon? Raczej nie. Czego oni chcą?

Kwadrans nic nie znaczących zdań. I nagle jeden z tych trzech, wójt — jak tu nazywają przewodniczącego Prezydium — Jan Wrzosek wybucha:

— Jak to jest, że musi się zdarzyć coś tragicznego, żeby się nami ktoś zainteresował? Wiemy, że to może być ciekawe dla prokuratora czy dla prasy. Żywymi trzeba się jednak zająć, nie zmarłymi. Trzech zginęło nagle i już wielki szum. A tu tyle umiera przed czasem i cisza. Od dawna w Serokomli nie ma lekarza. Dziesięć wsi jest w gromadzie. Kto zachoruje, kładzie się do łóżka i albo wyleczy domowym sposobem, albo rozchoruje gorzej i wtedy jedzie do Adamowa czy Łukowa, lub wzywa pogotowie. Z niektórych wsi jest 17 kilometrów do lekarza. Niejedna osoba poszła przez to przed czasem do grobu.

— Radnym jestem, powiatowym — dodaje drugi z mężczyzn, Sławomir Mioduchowski, rolnik z Wólki Serokomlskiej — kołaczę, gdzie mogę, i nic nie pomaga. Sam mam teraz chore dziecko, za mało chore żeby wołać pogotowie, a za bardzo, żebym w taki mróz wiózł do lekarza, kilkanaście kilometrów w jedną stronę i kilkanaście w drugą. Dałbym 200 złotych, nie, co ja mówię, 500, żeby teraz lekarz udzielił mu pomocy. Żona jest nauczycielką; musi siedzieć przy dziecku, a tam w szkole nie ma jej kto zastąpić.

— Nie chcemy uwiązywać u siebie lekarza na całe życie. Niech przyjedzie na pięć lat, niech sobie zarobi na mieszkanie w mieście oraz samochód i wyjedzie, potem niech przyjeżdża następny dorabiać się.

— Byle jakiś był i leczył — dodaje trzeci, Stanisław Szymanek, sołtys z Wólki Serokomlskiej. — Żona miała bliźnięta. Jedno zaniemogło. Śnieg był, zaspy, że samochód nie przejechał. Powiozłem saniami do Kocka. Na rękach mi umarło. Rozumie pan, co ja przeżyłem? Nic pan nie rozumie! Was bimbrownicy interesują. A cóż to ciekawego, że w Serokomli nie ma lekarza? Sensacji szukacie, ot!

Podnosi głos, jest podniecony, wypił już wcześniej. Ma przecież swoje racje. Mają je wszyscy trzej. Może należałoby zaniechać tragedii w Poznaniu, a zająć się tym tematem? Choć jedno wiąże się z drugim. Jan Cienkus żył jeszcze po wydobyciu go z piwnicy i sekcja zwłok nie wykluczyła, że gdyby pomoc lekarska nadeszła wcześniej, byłaby skuteczna. Gdyby lekarz jechał nie z dalekiego Łukowa, lecz z pobliskiej Serokomli...

Lecz słuszne żale wójta i jego towarzyszy nie rozwiewają tumanu tajemnicy znad Poznania. Jak to jest, że w Adamowie czy Łukowie wiedzą więcej o wypadku, niż w samej wsi? Bo mimo tego zbiorowego milczenia pomańczyków, milicja, prokurator i inni zainteresowani sprawą, z okruchów szczerości i słów, które się nieopatrznie wypsnęły, odtworzyli obraz wydarzeń. Niepełny, ale w pewnych szczegółach wyraźny: widać na nim, że głównymi ratującymi byli Borzęcy, 47-letni Stanisław i jego żona Leokadia, najbliżsi sąsiedzi Cienkusów.

Sołtysa i Borzęckiego ciągle nie ma. Za to pani Leokadia po „skąd pan wie, że my?", przerwie robotę przy kuchni i chętnie opowie:

— Usłyszeliśmy z mężem krzyki na podwórzu Cienkusów. Wyskoczyłam z domu. Genowefa biegała po podwórzu i krzyczała w kółko „ratunku, ratunku". Myślałam, że się może mężczyźni biją, jak to na wsi w niedzielę. Więc ja z powrotem do mieszkania, łap latarkę elektryczną i do Cienkusów. Świecę, a tam mój stary już włazi do jakiejś dziury na środku podwórza. W ostatniej chwili chwyciłam go za marynarkę i nie puściłam dalej. Wyłaź, mówię. On na to, że w dole leżą ludzie i trzeba ich wyciągnąć, bo coś złego się stało. Kazałam mu poczekać na wierzchu, skoczyłam do stodoły po widły na długiej rączce i tymi widłami wyciągać. Zaraz ludzie pomogli. Pomyślałam, że lepiej nawet którego skaleczyć trochę, niż wchodzić w niebezpieczne miejsce.

— A kto pomagał wyciągać zatrutych?

— Czy to się spamięta? Noc była, zamieszanie, zdenerwowanie. Sama nie wiem.

— Dlaczego pani ani mąż nic nie mówiliście lekarzowi i milicjantom, jak to się stało?

— Nas nie pytali. Chyba zaszliśmy wtedy do domu, jak wypytywali. Tak myślę, bo nie wiem.

— Proszę pani, podobno w piwnicy było czterech mężczyzn i czterech wydobyto. Kim był ten czwarty?

— Czterech? Doprawdy nie wiem, taka byłam zdenerwowana, ręce mi się trzęsły.

Także Bolesław Czyżo potwierdza swoją pierwotną opinię, że nic nie wie.

— Obok wsi biegnie linia telefoniczna, ale aparatu nikt nie ma, oprócz alarmowego. Jak dowiedziałem się, że jest wypadek i potrzebny lekarz, skoczyłem do Czesława Gajownika, wziąłem aparat, wszedłem na słup telefoniczny, przyłączyłem się i zadzwoniłem po pogotowie. Pewnie i powiedziałem, że jest czterch. Ja sam u Cienkusów przedtem nie byłem, powtarzałem tylko do słuchawki to, co mówili stojący pod słupem.

Jednak w mozaice złożonej z ułamków faktów, widać cztery postacie, leżące na podwórzu Cienkusów. Kim był ten czwarty? Podobno Jan Zdunek, lat 38, żonaty, dwoje dzieci, 2,12 ha, sąsiad o kilka zagród.

Zdunek jest średniego wzrostu, zgrabny, zręczny, robota idzie mu szybko, owija słomą młode drzewka. Ziemia kiepska. Przerzuca się powoli na sadownictwo. W tamtym roku zające zniszczyły mu kilkanaście sztuk. Teraz zabezpieczy się w miarę możności na czas. Chwileczkę, skończy i wejdziemy do mieszkania.

— Mówią, że kiedy Cienkusowa wołała ratunku, pan przybiegł, zeskoczył do piwnicy i stracił tam przytomność, a odzyskał ją, gdy ludzie wydobyli pana na wierzch i to dopiero po jakimś czasie.

— Ja, panie? To plotki.

— Zechce mi pan powiedzieć, jak w oczach pana wyglądało to wydarzenie?

— Ja panie... Nie pamiętam, co wtedy się ze mną działo. Wypiłem trochę... No i noc była...

Młody człowiek, lat około 20, siedzący w mieszkaniu Zdunka, patrzy na reportera i uśmiecha się przez cały czas.

— Rozmawiamy o śmierci, o zmarłych. Czy to pana bawi?

— Nie, ja tak zawsze. Taką mam twarz — i uśmiecha się.

Za ratowanie ginących w Polsce przyznaje się medale. Jeśli Zdunek rzeczywiście rzucił się do piwnicy, powinien taki medal otrzymać. Może jeszcze i kto inny. Jednak Zdunek zaprzecza. Być może, przemawia przez niego skromność, chęć uniknięcia rozgłosu. A może naprawdę nie wie nic?

Mało wiedzą we wsi Poznań. Mało mówią. Nikt nie zawołał stój nawet wtedy, gdy sierżant Kalicki zstępował do podziemia, w którym trzech padło na miejscu.

Romuald Wiśniewski

Dominik Opolski

Myśli

„Z prochu powstałeś..." Uważaj!

*

Wejdź w siebie. Może zapełnisz pustkę.

*

Kto pyta — błądzi z innymi.

*

Czy jeśli ktoś myśli, że myśli, to myśli?

*

Wolność — świadomość, że inni przebywają w więzieniach.

*

Konsekwencja — częstokroć wynik nieporozumień.

*

Ziemia kryje prochy strzelców.

Kamena str. 8

„PROTESILAS I LAODAMIA" w Lublinie

Maria Bechczyc-Rudnicka

PRZEDE wszystkim powiem otwarcie, że „Protesilasa i Laodamię" zobaczyłam na scenie po raz pierwszy w styczniu bieżącego roku. Nie sądzę przecie, by fakt ów zbytnio mnie kompromitował. Niestety, raczej teatrom naszym przynosi blamaż długoletnie ignorowanie tej nad wyraz interesującej tragedii Wyspiańskiego. Gdyby żył nieodżałowany Stanisław Dąbrowski, można byłoby dowiedzieć się od niego na poczekaniu, ileż to razy została ona wystawiona w Polsce po krakowskiej premierze z dnia 25 kwietnia r. 1903. Obawiam się, iż liczba okazałaby się znikoma. Skruchą więc napełnia mnie osobiście jedynie stracona przez opieszałość okazja obejrzenia niedawnego spektaklu Henryka Tomaszewskiego we Wrocławiu.

Doprawdy trudno pojąć obojętność kierownictw teatralnych do utworu, którym chętnie posługuje się jako świetną etiudą aktorską szkoła teatralna.

Tym większą tedy zasługę ma w jego wystawieniu lubelski Teatr im. J. Osterwy, a zwłaszcza inscenizator, albowiem od niego prawdopodobnie pochodzi szczęśliwa inicjatywa. Może zresztą i od Krystyny Łubieńskiej, Laodamii — rola to dla życiorysu ambitnej aktorki niezmiernie reprezentacyjna, istny klejnot, rola Modrzejewskiej.

PROTESILAS I LAODAMIA
według tragedii STANISŁAWA WYSPIAŃSKIEGO
układ tekstu, reżyseria i opracowanie plastyczne —
PIOTR PARADOWSKI

Trzeba się przyznać, że powyższe rzeczowe informacje programu teatralnego mogą budzić czujność w tym, kto nastawiony jest opornie względem niefrasobliwego stosunku do tekstów klasycznych szerzącego się coraz bardziej w pewnych kołach reżyserskich. Atoli spektakl Paradowskiego zatriumfował nad apriorycznymi zastrzeżeniami. Owszem, P. Paradowski ingerował odważnie w tekst poety, lecz ingerencje te, choć liczne, przydały przedstawieniu swoistej atrakcyjności, nie deformując treści ani stylu dzieła.

Dobry wynik niejako uświęcił środki użyte w fakturze opracowania.

Sam kształt i wymiar Reduty 70 skłaniał zapewne inscenizatora do kameralizacji spektaklu. Naturalnie odpadła dekoracja, o której czytamy w orginale: *Portyk kolumnowy; w głębi za kolumnami widać gaj cyprysów, w którymże pośrodku białą stelę grobowcową; tłem skały nadmorskie i złote niebo zachodu.* Tak pisał Wyspiański — malarz. Inscenizator rozegrał tragedię rapsodycznie na miniaturowym dysku Reduty, w jej popielatych kotarach, skupiając sześcioosobowy, czarno odziany Chór kobiet w ciasnej mrocznej niszy. Zastosowane na modłę stasimonu tragedii greckiej inkantacje owego Chóru unieruchomionego, z którego wyłaniają się we właściwych momentach postacie Pytii, Dziewki, Nudy — tworzą niesamowite, nastrojowe tło muzyczne dla duchowych stanów Laodamii. Temu to Chórowi przekazał inscenizator tekst wędrownego śpiewaka, Aojdesa, i nawet część tekstu bohaterki dramatu, dodając nadto fragmenty „Agamemnona" Ajschylosa w języku greckim i w przekładzie Stefana Srebrnego. Ich wręcz muzyczne wygłaszanie wzmaga poetyckość spektaklu. Zabieg inscenizatorski jest tedy zgodny z duchem tragedii Wyspiańskiego.

Wydaje się, że usunięcie postaci Aojdesa, Starca, Szafarki, zaniechanie konkretyzacji Snu i Zmory, dyskretne wyłonienie postaci Nudy z Chóru — że wszystkie te pociągnięcia Paradowskiego i jego reżyserskie skróty udatnie skondensowały zainteresowanie namiętnością Laodamii, nie dopuszczając do rozproszenia uwagi na uboczne sprawy „wierności" małżonki herosa, czy też poczucia „krzywdy" doznanej od Protesilasa, który przekłada sławę nad miłość.

Inscenizator na pewno świadomie przechylił formę tragedii w stronę monodramu. Wysublimowana namiętność Laodamii osiąga siłę osobliwego bohaterstwa, doda bowiem jej odwagi do odebrania sobie życia dla połączenia się w Hadesie z Protesilasem. Sądzę, iż wobec tak frapującego obrazu monopasji problem klątwy, losu all'antico odchodzi raczej na dalszy plan i w nim się zaciera.

Bardzo ważną ingerencją do tekstu oryginału jest oczywiście wprowadzenie postaci Protesilasa na początku spektaklu. Jego bezgłośna, lecz konkretna obecność potęguje późniejsze ludzkie akcenty cierpienia młodej kobiety po niewczesnej utracie męża-kochanka. Paradowski ukazał Protesilasa „żywego", przed wyruszeniem na wojnę trojańską, potem dopiero przywołuje go zaklęciami Laodamii jako widmo. W konsekwencji (jak zresztą i na skutek innych potrzeb inscenizacyjnych) tekst Wyspiańskiego uległ przestawieniom. Ale są one wszędzie rozsądne, zalecające się logiką artystyczną.

Końcowe przydzielenie Hermesowi funkcji Charona z kolei zapobiega zakłócającemu skupienie widza mnożeniu postaci.

Ciekawe może być, chociażby pobieżne, zbadanie, jak wpłynął proceder inscenizatorski na „greckość" utworu. Postawiwszy sobie takie pytanie zasięgnąłem konsultacji u Tadeusza Sinki (fundamentalna praca z r. 1916 „Antyk Wyspiańskiego").

Podobnie do Stanisława Brzozowskiego, na którego powołuje się teatralny program, Sinko zaznacza, że omawiany dramat począł się z lektury Homera w związku z ilustracjami Wyspiańskiego do „Iliady". Ale nie tylko z lektury „Iliady". Złożyły się na „Protesilasa..." też liczne inne reminiscencje, szczególnie z „Odysei", jak np. w obrządku sceny czarów. Tadeusz Sinko podaje przekonujący rodowód postaci fantastycznych „Protesilasa i Laodamii". Otóż, uwzględniając wyprowadzone w monografii rodowody, dochodzę do wniosku, że wyeliminowanie ze spektaklu „Protesilasa..." wizyjnej personifikacji Homerowych postaci Snu i Zmory do pewnego stopnia „odantycznia" spektakl.

Analogicznie oddziaływa na jego styl zdawkowe potraktowanie ceremoniału czarów i, oczywiście, wyrzeczenie się stylizowanej na antyk dekoracji.

Lecz z drugiej strony, brak wymienionych elementów wynagrodził Paradowski sowicie wprowadzeniem wspomnianej wyżej muzyczno-poetyckiej recytacji fragmentów „Agamemnona" Ajschylosa. Już dla samego „Io, Io, basileu, basileu" (przepraszam za transkrypcję fonetyczną) warto przyjść na spektakl!

Pragnę przypomnieć jeszcze o innym nurcie przepływającym przez utwór Wyspiańskiego — o nurcie modernistycznym.

Nurt ten wyłonił się w inscenizacji Reduty 70 z całą wyrazistością. Towarzyszyło mi w czasie spektaklu nieodstępnie wrażenie, że ton jego, tu i ówdzie „litanijny", ma coś pokrewnego z teatrem Maeterlincka, coś z ducha widzianych przez mnie swego czasu — „Pelléasa i Mélisandy", „Księżniczki Maleny", „Ślepców" itd. Jakoż monografia Sinki wskazuje na pewne analogie u Wyspiańskiego, które niejako uzasadniają moje wyczucie, iż Piotr Paradowski wprowadził spektakl (może podświadomie) w magiczne koło nastrojów Maeterlinckowskich. Nasunęło mi to, nawiasem mówiąc, myśl, że scena Reduty 70 nadawałaby się znakomicie na inscenizację przejmującego „Wnętrza" wielkiego Belga, ongiś tak popularnego.

Aktorzy lubelskiego „Protesilasa i Laodamii" wszyscy dali dowód dużej kultury artystycznej, dosłownie wszyscy, zaczynając od Chóru (Nina Czerska, Elżbieta Jagielska, Maria Karchowska, Zyta Połomska, Maria Szczechówna, Elżbieta Święcicka). Zbigniew Sztejman jako Hermes, potem Charon, budził sugestywnie niepokój. Dużo ciepła wydobył z widmowej postaci Protesilasa Marian R. Mleczka. Było w niej jakieś elegijne powiązanie z życiem, które uszło. Na osobną wzmiankę zasługuje przepiękny moment śmierci od wrażej dzidy.

W centrum uwagi i podziwu była, rzecz jasna, nie schodząca ze sceny Laodamia. Rolę tę grała na premierze Krystyna Łubieńska, następnie, wskutek jej nagłej choroby — Barbara Koziarska. Porównanie dwóch wariantów roli dało ciekawy materiał do rozważań. Łubieńska, operująca dobrym już warsztatem aktorskim, akcentowała w stanie psychicznym Laodamii rozpaczliwą pasję, zrodzoną na podłożu wybujałego erotyzmu. Koziarska natomiast wzrusza autentyzmem przeżyć młodziutkiej kobiety, zmysłowo zaledwie rozbudzonej, tęskniącej bardziej „idealnie". Obydwie koncepcje, uwarunkowane naturalnymi dyspozycjami artystek, mieszczą się w treści i stylu tragedii-monodramu Stanisława Wyspiańskiego i mają prawo do najszerszego zaprezentowania na terenie ogólnopolskim. Zarówno Łubieńska, jak Koziarska, odtworzyły z niemałym kunsztem dziwny stan ducha człowieka, którego bezpowrotna utrata wielbionego ideału wtrąca w świat wyimaginowany, nie pozwalając żyć w świecie konkretnym.

Rzucanie nożem w drzewo

Monika Kotowska

RZUCAŁ nożem w drzewo. Starał się trafić w sam środek tarczy wyskrobanej na drzewie, rzucał z miejsca, z rozbiegu, z klęczek, na siedząco, z rozmaitych odległości, obok tarczy zapisywał sobie punkty. Już około trzydziestu nacięć. I dwadzieścia dziewięć krzyżyków, gdy nie trafił. Przewaga — jednym punktem. Jeden zero — dla niego!

Zmęczył się, otarł twarz, usiadł na kłodzie drzewa. Odpoczywał przed dalszą grą. Oparł głowę na rękach, zamknął oczy.

Świat huczał wokół niego, przez chwilę był znów tam, w maszynowni, w środku dnia, gdy ściany drżą, a głowa pęka od hałasu, czaił się w mroku, za maszyną... a potem był pod torami, leżał płasko i pociągi przelatywały nad nim, a potem w magazynie, w środku dzikiego tłumu, przyciśnięty do ściany zatykał dłońmi uszy, a potem otworzył oczy i był znów tam — gdzie naprawdę. W zagajniku brzozowym.

Igor, Gandi i Wujo przyrządzali śniadanie. Na polanie, obok samochodu. To był szósty dzień ich wędrówki. Wszystkie zwyczajne dźwięki dotarły znów do niego: skrzypienie chrustu, uderzenia siekiery (gdy Wujo rąbał drzewo), trzaskanie gałęzi w ogniu, zgrzyt metalu — kiedy ktoś otwierał konserwową puszkę. Poczuł też na twarzy dotyk wilgotnego powietrza.

Wpadło mu naraz do głowy, aby się zabawić, że jest ślepcem. Miał chęć wstać i pójść przed siebie z zaciśniętymi oczami, chwytając się pni drzew, macając butami ziemię, ogarnęła go ciekawość, jak daleko zajdzie, zanim się nie przewróci, jak sobie da radę bez patrzenia? Zerwał się z miejsca. A potem usiadł znowu. Bo przypomniał sobie, że tam mogą być miny.

Więc posiedział i odpoczął, a potem znowu grał i po paru minutach miał już cztery punkty, cztery punkty przewagi, a to dużo, jeśli wziąć pod uwagę metody i odległości, i że gra w tę grę pierwszy raz w życiu!

I znowu odpoczywał, zamknąwszy oczy, a potem spojrzał i świat przed oczami naraz wydał mu się przytulny, jakby cały wysłany materiałami: jedwabiem i aksamitem, szare niebo, czarne drzewa połyskliwe, a wokół drzew mgła, jak jakieś białe futerko — a wszystko tak bliskie, że gdyby wyciągnął rękę — mógłby to pogłaskać... A jeszcze do tego słońce, żółte, szkliste, matowe, jakby to słońce była zawinięte w celofan.

Dziwne to było, patrzył i patrzył, bo pierwszy raz w swoim życiu widział coś podobnego. Przytulnie się czuł, jakby kurtyna miękka, kolorowa łagodnie odgradzała go od ludzi. Cały świat był uciszony. A potem naraz usłyszał ich głosy, oni się przybliżyli, więc poderwał się, schował za koszulę nóż. — Coś właściwie wczoraj robił? — zapytał któryś i wszystko wokoło stało się znów zwyczajne.

Igor usiadł obok niego na pniu drzewa. Chłopak rozejrzał się w popłochu. Spojrzał na pole gliniaste — gdyby miał uciekać, stopy by tam ugrzęzły — na niebo popielate — jak przed deszczem — jeśliby sam tu został, schował się na przykład w bruździe — przemoknie do kości, a nie ma tu żadnego stogu, szopy rozwalonej ani żadnego schronienia, pod drzewami także przemoknie, bo już opadły liście... Wszystko się zmieniło. Nie znosił tego świata!

— Coś właściwie wczoraj robił?

Zastanawiał się gorączkowo, co ma odpowiedzieć.

— No?! Co tam było w miasteczku?!

Chłopak pochylił głowę. Rysował obcasem ziemię... Widział wyrwaną bramę magazynu, twarze skrzywione w krzyku, mnóstwo twarzy ludzkich, tłum, który napierał na przepierzenie z dykty, tysiąc rąk wyciągniętych, czarnych w świetle łuny, odblask pożaru w rozszerzonych oczach, tysiąc rąk, jak pijszczele, macających na ślepo... a tam pod ścianą beczułki, worki, paczki, szafy, drzwi i szuflady i wielkie połcie mięsa wysoko pod sufitem... przyciśnięty do ściany zatykał dłońmi uszy...

— Byłeś w magazynie, tak?

— W magazynie?! Ja?!

— Jak to, nie widziałeś, jak podpalono magazyn?!

Zaprzeczył ruchem głowy.

Igor patrzył przed siebie. Długo nic nie mówił. Twarz zmieniła mu się, jakby nagle stwardniała. Chłopak zapatrzył się w niego. Patrzył z niepokojem. Usłyszał ciche pytanie:

— Widziałeś już coś takiego?

— Nie — odpowiedział Chłopak.

A potem się zawahał:

— Tak... chyba tak... wybąkał.

Zerknął na tamtego. Nie pojmował, o co mu chodzi. Miał wrażenie, że jest tutaj po raz pierwszy. W tych stronach. Ale wiele już spotykał takich wzgórz i takich zagajników, i pól rozmiękłych, i oddalonych wsi... Takich, jak ta. Z daleka domy wydawały się czarne. I czarne sylwetki ludzi, którzy wyszli w pole: jedni prowadzili konie i pługi, a drudzy szli za nimi z bronią, stal karabinów połyskiwała w słońcu, sunęli wolno przed siebie dwiema gromadami, miarowo, jak przy dźwiękach marsza.

— Widziałeś już coś takiego? — powtórzył Igor z naciskiem i Chłopak znowu nie wiedział, co mu odpowiedzieć, bo coś takiego to on widział.

Oglądał to co dzień od kilku lat, jak jacyś z bronią pilnują tych, którzy pracują, jedni i drudzy rozmawiali w różnych językach. Różne rodzaje pracy, a wszystkie pod eskortą. Profesor powiedział, że „to się niedługo skończy, kiedy my zwyciężymy, kiedy nasi zwyciężą, kiedy my zwyciężymy, zaczną się wtedy czasy ładu, sprawiedliwości, wolności najprawdziwszej, a wszyscy bandyci zostaną ukarani (podobnie, jak złodzieje obozowi), bo po to, aby stworzyć nowy świat, to trzeba wpierw wymieść śmiecie"... słuchali wszyscy w skupieniu i Chłopak też słuchał, lubił te przemowy Profesora, jego głos. Wtedy, wieczorem, w baraku numer pięć, gdy już zjedli zupę, Profesor mówił najładniej, Chłopak chłonął jego słowa, w mroku nie mógł już prawie rozróżnić rysów jego twarzy, ale patrzył, w mroku ta postać przypominała kamienny posąg z cokołu, posąg kamiennego bojownika (widział raz w miasteczku). Chłopak bawił się wtedy, że tak jest naprawdę. Kamienna rzeźba na pryczy, a z ust jej wciąż płyną metalowe słowa. A potem obliczał, ile to sucharów. Osiem plus trzy na wabia — to razem jedenaście. Jedenaście sucharów z chleba ukradł Profesor różnym. Trzy suchary jemu. Ale mówił ładnie i Chłopak lubił go słuchać. Mniej, naturalnie, trochę niż Komendanta. Komendanta bardziej lubił słuchać, bo Komendant miał ładniejszy głos. Komendant całą tę sprawę przedstawiał trochę inaczej. Inaczej komentował rzeczywistość. Wtedy, rankiem, w baraku biurowym, gdy czekali obaj, aż doprowadzą winnych — wtedy. Wtedy właśnie Komendant wyjaśnił Chłopcu swój pogląd. „To czysty przypadek — mówił — wszystko, co tutaj widzisz. Chodzi zawsze o to, kto jest górą. Jakby wasi, to oni staliby, stali nad nami z batem, a my byśmy harowali aż do wyprucia żył. Zawsze tak: silny ciemiężył słabszego, ale my to zmienimy, bo jak nie my, to kto? Tylko my jesteśmy w stanie zaprowadzić ład i sprawiedliwość, i wolność najprawdziwszą, ale aby stworzyć nowy świat, to trzeba wpierw wymieść śmiecie, wytępić bandziorów — tylko ludzie na tym świecie bożym mają prawo do życia"... tłumaczył z zapałem, a potem spytał Chłopca, czy on mu wierzy, więc ten kiwnął głową, że tak — lecz nie wierzył. Nie wierzył nigdy nikomu, wierzył w to tylko zawsze, co mógł zobaczyć czy dotknąć.

Ubawiła go wtedy bardzo ta zbieżność słów: Komendanta i Profesora — jakby jeden drugiego przedrzeźniał — tylko nie wiadomo: kto kogo... i odwrócił się do okna, aby ukryć uśmiech. Ujrzał w szybie odbicie jego, a był jak posąg wspaniały w samym świetle dnia, aż blask od niego bił, wszystko lśniące: skórzany płaszcz i krzyż żelazny i jakieś blaszki, sprzączki, a do tego twarz gładziutko wygolona i brylantyna na włosach... Bębnił po biurku palcami, znudzony lekko, bo to się przedłużało, jeszcze winnych nie doprowadzili, Chłopak także wolał, żeby prędzej, chciałby mieć już poza sobą tę uroczystość kary, chciałby już zasiąść wreszcie do śniadania! Nie lubił takich widowisk, wszyscy musieli patrzeć, Komendant chciał, aby wszyscy... nakładał teraz powoli skórzane rękawiczki, wargi drżały mu lekko — Chłopak widział w szybie. A potem przetarł ją ręką, by dokładniej widzieć, jak ich poprowadzą. I się cieszył, że jest po tej, a nie po tamtej stronie szyby...

— Widziałeś... — zaczął znów Igor i urwał.

Chłopak spojrzał na niego. Wpadło mu do głowy, że może ten — to samo? Może powie mu teraz to samo, co tamci?! Co tamci dwaj mówili, takie same słowa... dlaczego nie, to możliwe, oni lubili to mówić, o sprawiedliwości i tak dalej, więc może ten tu teraz też... i czekał z uśmieszkiem.

Ale nie. Igor nic nie mówił, patrzył znowu tam. Wujo i Gandi podeszli, stanęli blisko, wszyscy trzej oglądali w milczeniu orkę pod konwojem.

Oni się zbliżali. Coraz bliżej... już można było rozróżnić ich twarze... i obejrzeć buty, pozwiązywane sznurkiem...

— Nasi... — westchnął Wujo.

— Którzy?! — rzucił się Gandi.

— Mają orzełki na czapkach...

— Tak, ale bez koron!

— Znaczy, że nie nasi?

— Którzy?! Pytam: którzy?!

— Bandziory — wmieszał się Igor.

— Którzy?!

— Bandziory, a rozstrząsają problemy ideowe, obrzydzenie bierze!

— Ty myślisz, że jesteś lepszy?

— Ja nic nie roztrząsam!

— Odkąd to myślenie stanowi ujmę. Szefie?

— Jak mówisz do mnie „szefie", to czuję się szefem kuchni. I jakby się to wszystko działo w jakiejś knajpce.

Potem długo milczeli i Chłopak słyszał ich oddechy ciężkie, niespokojne, więc jeszcze raz przyjrzał im się spod oka. Więc to tak?

Powoli ruszył w stronę drogi, wlokąc za sobą torbę. Powoli, bardzo powoli. Uśmiechał się. Słyszał odgłos kroków. To tamten za nim szedł. Coraz bliżej, czuł jego i swój strach. Więc to tak — myślał. Szedł prosto w stronę drogi.

Tamten też. Chłopak udał, że poprawia but. I znów wolno, krok za krokiem... naprzód. Nagle Igor chwycił go za ramiona rękami jak kleszcze. Zwrócił w swoją stronę.

— Dokąd idziesz?

— Na spacer.

— Ty. No, nie bądź taki spacerowicz!

Bez oporu dał się prowadzić z powrotem. Podeszli do ciężarówki.

— Siadaj, chłopak, pokażę ci, jak się prowadzi wóz. Tu hamulec, tu sprzęgło, tu dźwignia zmiany biegów.

Chłopak patrzył na jego pobladłą twarz. Blisko, obok siebie. Więc wystarczy przebiec te kilkadziesiąt kroków... Na drugą stronę drogi, do tamtych!...

Czuł się, jak Władca, jak Olbrzym. To nie on bał się, to tamten! Mógł ścisnąć dłońmi jego szyję i udusić go, jak kurczaka. Albo go pchnąć nożem. Albo go zastrzelić, ale Chłopak czuł się jak Olbrzym. To nie on bał się — to tamten! Tamten bał się czegoś i patrzył z uśmieszkiem na jego pobladłą twarz. Smakował ten dziwny smak, gdy się patrzy na strach drugiego — blisko, obok siebie — i to było wspaniałe, jakby naprawdę w oczach rosnął i niedługo przeskoczy las i będzie większy niż góry... Jakby go zaczarował Cudowny Czarownik — i to było jak wielkie święto, bo to mu się przydarzyło po raz pierwszy w życiu!

Igor zaczął czegoś szukać po kieszeniach, palce mu się plątały. Wreszcie znalazł śrubokręt.

— Coś ci pokażę, mały.

Naciskał jakieś sprężyny, odkręcał śrubokrętem śrubki, odsuwał stalowe pręty, otwierał na moment schowki, a w nich leżały paczuszki, owinięte w gazetę.

— Widzisz: mamy dokumenty na wszystkie okazje. Tylko się nie pomylić i otworzyć właściwą skrytkę. Teraz ty odpłać mi też zaufaniem i powiedz teraz, coś robił w miasteczku?

— Kto, ja?

— Tak, ty.

Otworzył jeszcze jedną skrytkę i wyjął z niej mały, skórzany woreczek. Bawił się nim przez chwilę, podrzucając na dłoni, potem schował. Chłopak pomyślał: „co tam jest?!", ale ta chwila dręczącej ciekawości trwała bardzo krótko.

— Więc co tam robiłeś?

— W miasteczku?...

— Aha.

— Po dworcu pochodziłem sobie trochę...

— Dużo repatriantów?

— Dosyć.

— I co? O czym rozmawiają?

— A normalnie sobie.

— A potem?

— W kolejce stałem. Jak obiad wydawali.

— Kuchnia polowa?

— Aha.

Skinął głową, a w pamięci ujrzał znów wyrwaną bramę magazynu, leżała na ziemi, unurzana w błocie, a ci co biegli, potykali się o nią... I te twarze. Widział je już raz. W obozie, podczas mszy. Twarze skrzywione w krzyku, jakby w śpiewie... I on razem z innymi, w środku tłumu oszalałego... Biegli, tratowali połamane skrzynki, brodzili w maśle, szkło zgrzytało pod butami, chwytali na oślep, co popadło, biegli dalej... Do drugiej sali, gdzie pod ścianą beczki i ogromne worki, a z sufitu zwisają ciemne połcie wędzonki... i na półkach wielkie stoje makaronu...

— Więc przyjemnie spędziłeś ten czas?

— Tak sobie. Dość dobrze.

...Stanęli w progu na moment, jakby ktoś podał hasło... A on razem z innymi... Znów biegli, tratując kartofle, pęki warzyw... Cudownie! Czuł się jednym z wielu. I to było świetne uczucie! Jak zawsze, gdy się jest z innymi, gdy się jest kimś z tłumu, zjednoczonego wspólnym, wielkim celem (jak na przykład modlitwa o wolność czy zdobywanie żarcia).

— A co potem?

— Nad rzekę poszedłem, przy moście posiedziałem sobie trochę.

...Czekał pod ścianą spokojnie, aż się ten tłum przewali, głodny bardzo, ale nie aż tak, żeby się dać przewrócić, potem przeszedł do trzeciej sali. Tam, gdzie kiedyś był sklep żelazny. Sam tu był, myszkował wśród skrzynek pełnych gwoździ.... przez otwarte drzwi widział tamtych, napychali sobie żarcie do ust, toreb, kieszeni, za pazuchy, w ciszy olbrzymiej naraz... Patrzył na to przez jakiś czas, przyczajony w mroku. Sam był tu — a oni tam, i to było świetne uczucie. Wrócił do swych poszukiwań. Wybierał wśród różnego rodzaju noży. Wreszcie wybrał, schował za koszulę i rozglądał się, co by tu jeszcze wziąć...

— A coś przyniósł sobie z miasta? Pokaż!

Igor chwycił jego torbę — pusta! Potrząsnął nią kilka razy, jakby w niedowierzaniu. Ale torba była pusta. Więc cisnął ją na ziemię. Zły jakiś.

— Niczego tam nie znalazłeś? A co potem robiłeś?

— Znowu w kolejce stanąłem. Że może znów obiad dadzą.

— No i dali?

— Nie.

— Nie dali. Biedny mały!

— ... Znów krzyk, to przez drzwi i okna napierali drudzy, następni... chciał już stamtąd wyjść, ale nie mógł, bo ci, co się tu wdzierali, zastępowali mu drogę. Więc czekał, aż zrobią miejsce. Czekał spokojnie pod ścianą. W bocznej salce, tam, gdzie dawniej był sklep żelazny — spokojny, bo już teraz znalazł sobie to właśnie, czego szukał...

— Muszę cię nauczyć, mały, wielu rzeczy.

Skinął głową posłusznie. Igor wysiadł z szoferki. Patrzył na Chłopca z uśmiechem. Potem się odwrócił i poszedł na drugą stronę drogi, do Wuja i Gandiego, którzy wciąż stali w krzakach, Chłopak ruszył za nim.

Cieszył się, że nic nie powiedział, że ma to schowane. Bo gdyby Igor wiedział, to mógłby mu odebrać. Jasne! Jak się dowie, to na pewno mu odbierze... odbierze mu też nóż i osełkę do ostrzenia noża, odbierze mu na pewno! I nie będzie gry i patrzenia potem na świat uciszony, gdy się odpoczywa, kiedy odpoczywa się po grze, gdy się ma przewagi cztery punkty i świat przed oczami łagodnieje, i nie będzie odpoczywania, ani patrzenia, ani odchodzenia od nich powolnego, w stronę drogi, bliżej wsi, kiedy oni stoją w gęstych zaroślach, niespokojni, oddychają ciężko, patrzą na tych innych, co im zagrażają... a on idzie bardzo powoli, dla zabawy, tak, dla zabawy tylko, aby ich postraszyć i siebie — smakuje swój własny strach, smak tego wyzwania — już inaczej wszystko!

Nie tak! Wszystko dla niego się zmieni, będzie znów jak przedtem. Gorzej! Będzie jak olbrzym, któremu obcięto stopę i już nie może pędzić, lecz kiwa się jak kaczka.

Szedł tak za Igorem i się cieszył, „że nic nie powiedział, że ma to dobrze schowane" — a potem nagle ta radość zamieniła się w strach. Po kilkunastu krokach. Bo tamten go zastrzeli. Tak, skończy z nim i to zaraz. Za chwilę już. Wyciągnie po prostu rewolwer z kieszeni i... Albo w jakiś inny sposób, wszystko jedno! Pewien był. W przeciwnym wypadku nie pokazałby mu skrytek. No, może pochwalić się chciał, przez lekkomyślność, a teraz żałuje! Tak czy inaczej, teraz musi skończyć z nim, już nie ma rady. I czekał na ten moment.

Osłabły, z walącym głucho sercem. Tamci zaś rozpalili małe ognisko wśród głazów i kawę gotowali, rozsiedli się na kocu. Igor papierośnicę wyciągnął, patrzył na Chłopca uparcie. Dziwnie jakoś, natarczywie i Chłopak zaniepokoił się: co on chce? Chce czegoś, to pewne! Daje mu może tę ostatnią szansę, że jak Chłopak spełni to jego życzenie... No tak, ale o co chodzi?! Czego on chce, na Boga?!

Rozejrzał się w popłochu i ujrzał płomień ogniska. Uspokoił się. Pewno chce, żebym podał mu ogień. Papierosa mu zapalić, ścierwo.

Schylił się, patyk przytknął do płonącej żagwi, potem mu podał usłużnie, myśląc przy tym: „Ty gnoju". Igor się uśmiechnął, skinął mu głową lekko, więc odetchnął. No, odroczone chyba na razie... Lepiej trochę, ale nie za bardzo.

Obejrzał się i poczuł przy tym dotknięcie noża, zimny metal sparzył mu skórę, naraz wpadło mu do głowy, żeby się tym nożem przebić. Jeśli nad tym pomyśleć i ustawić się chytrze... to można, można na pewno i wtedy koniec nareszcie, bo niepodobna przecież żyć w tym nieustannym strachu, nie, nie można, nie można! Patrzył na bielejącą wśród drzew drogę, gdy szedł tam, nie bał się, czuł się jak Olbrzym, cieszył się, ale ile to trwało?! Tych piętnaście kroków?!

Zaczął naraz rozmawiać z samym sobą w myśli, przekonywać: „Po co?! Po co mieliby cię skończyć, czemu?! Zastanów się, bądź rozsądny!". „Tak, ale dlaczego by nie?!" I nie umiał znaleźć odpowiedzi. Więc wpadł na pomysł, aby im się stać użytecznym jakoś, spróbować może w czym pomóc, paczki ponosić albo co, narzędzia potrzymać, gdy samochód będą reperować, albo przy rozpalaniu ognia... Tak, ale wtedy dopiero może ich czymś rozzłościć, prędzej nawet, bo będzie blisko... gdy upuści coś, albo poda za szybko, za wolno... albo mina jego im się nie spodoba...

Więc siedział, zrozpaczony, sztywno, czując wciąż na sercu dotknięcie noża. Oni rozmawiali teraz szeptem, spoglądając co chwila w stronę wsi.

— Podobno — odezwał się Wujo — że oni chcą, żeby żony były wspólne. I wspólne wszystko jedzenie. Ja to tam nie lubię, jak ktoś mi do garnka zagląda!

— Oni chcą, Wuju, udostępnić wszystkim szkoły i wszystkim chleb, aby wszyscy ludzie byli lepsi. Żeby już nie było głodnych ani głupich. Żeby wszyscy pracowali.

— Ja tam nie lubię, jak ktoś obcy mi mówi, jaki mam być. Czy taki czy siaki, księży czy innych diabłów to zawsze przeganiam... Człowiek jestem, sam zadecyduję. Wolny człowiek jestem.

— Wolność Wuju, jest rodzajem wyższej konieczności, zrozumieniem lepszego...

— O wolności dyskutujecie, panowie? — do rozmowy wmieszał się Gandi — Cóż, Wolność! „Wolność" może być bardziej lub mniej malownicza, przypominam ją sobie ze sztandarem i w hełmie, w postaci tęgiej baby zwalistej, potrząsa tą kolorową szmatą ponad głowami tłumu z takim jakimś tupetem, a twarz ma pazernej kupcowej, to był obraz, zdaje się, Delacroix...

— Mylnie odczytałeś intencje artysty!...

Chłopak pomyślał, że łomem by ich trzeba. Albo granat, żeby to rozwalił. Odszedł na chwilę w krzaki, żeby schować do ziemi swój nóż. (Bo pomyślał, że z nożem za koszulą to zbyt już doprawdy niebezpiecznie, zawsze mogą dopaść i odebrać). Zakopał i miejsce oznaczył szyszką, jak będą odjeżdżali, to sobie zabierze. I rzeczywiście, dobrze zrobił, bo po chwili Igor odwołał go na bok i zrewidował dokładnie w krzakach, czy czegoś nie przechowuje. Gdy skończył, rzekł z krzywym uśmiechem: — Tak, istotnie nic nie masz. No, widzę, żeś uczciwy!

Chłopak odszedł, zadowolony, że i tym razem miał szczęście. Poszedł dość daleko, między drzewa, tam, gdzie nie słychać ich głosów. Patrzył na świat kolorowy. Chciał widzieć go tak, jak przedtem, wówczas, gdy grał w swoją grę.

Lecz już inaczej było.

(Fragment powieści przygotowywanej do druku)

Głos z terenu

Współczesny regionalizm

Józef Lulek

Zamieszczając poniższy artykuł działacza regionalnego z Lubartowa pragniemy zwrócić uwagę, że „Kamena" poza kwartalnym dodatkiem „Ziemia i Pieśń" poświęca dość dużo miejsca ruchowi regionalnemu w różnych jego przejawach. Jeżeli regionaliści uważają, że czynimy to zbyt rzadko, to chyba postulat ten należy skierować przede wszystkim pod ich adresem: piszcie częściej, a my będziemy drukowali.

Red.

OSOBLIWE koleje w swojej działalności powojennej przechodzili regionaliści, zanim „dziwaków" (w pierwszym dziesięcioleciu) uznano za „pozytywnych bohaterów" (w drugim dziesięcioleciu), by z kolei po Kongresie Kultury Polskiej (1966 r.) Min. Kultury i Sztuki z władzami terenowymi zaczęły pełnić wobec twórców i działaczy społeczno-kulturalnych niepisaną funkcję mecenatu. W związku z mającym się odbyć w najbliższych miesiącach wojewódzkim zjazdem towarzystw regionalnych nie od rzeczy będzie przeanalizować aktualne zadania, propozycje i trudności, zanim na zjeździe zostaną podjęte odpowiednie uchwały.

Przez regionalizm w pojęciu współczesnym rozumiemy społeczno-kulturalną działalność na określonym terenie (wieś, gromada, powiat, województwo), które wydobywa z przeszłości postępowe i patriotyczne tradycje, folklor, obyczaje i ich odrębności, oraz angażuje się w aktualną problematykę danego regionu. Regionalizm jest ruchem amatorskim, zaspokajającym zapotrzebowanie kulturalne, tak ze strony odbiorców jak i twórców. Ta działalność ma szczególną rolę do spełnienia w środowiskach wiejskich i małomiasteczkowych, do których kultura zawodowa nie dociera lub czyni to w sposób sporadyczny i nie zaspokaja wymagań środowiska.

Na tym tle zrodziła się spontaniczna inicjatywa, ażeby te braki uzupełnić. Twórca — amator (nazwa ta budzi zastrzeżenia i niesłusznie utożsamiona jest z kibicem np. sportowym), zainteresowany wybranym odcinkiem pracy, tworzy, działa z potrzeby wewnętrznej, z zamiłowania, bez względu na odbiorców.

Twórczość ta, traktowana jako forma wyżycia się lub psychicznego wypoczynku, z czasem okazała się pożyteczna, wartościowa i życzliwie przyjęta przez społeczeństwo. Dzisiaj duże zainteresowanie twórczością i działalnością amatorską wykazują także twórcy zawodowi.

Trzeba tu od razu powiedzieć, że obok ciekawych osiągnięć, ruch amatorski popełnia sporo grzechów, bo często bezkrytycznie przyjmuje się za wartościowe to wszystko, na co dany zespół czy też twórców stać. Wtedy mamy do czynienia z tak zwaną grafomanią w sztuce. Dlatego też konieczny jest instruktaż, fachowe opiekuństwo, ale bez sugerowania wzorów kultury zawodowej. Twórczość oryginalna regionalnych amatorów jest niezmiernie cenna jako wkład do dorobku kultury narodowej. A więc oryginalność i czystość regionalizmu oraz aspekt artystyczny i społeczny (z cechami równorzędności) — to istotne elementy każdego amatorstwa.

W ostatnim dziesięcioleciu regionalizm zyskał sobie wielu zwolenników, powstało sporo nowych towarzystw. Jednak, ogólnie biorąc, była to działalność kulturalna wszerz. Teraz należy położyć większy nacisk na działalność wzwyż, na doskonalenie artystyczne twórców i zespołów regionalnych, tak, by mogli z pewnym powodzeniem rywalizować z twórcami zawodowymi. Wszystko to musi się odbywać stopniowo i w okresie ewolucyjnym należy stosować jakieś kryterium tolerancyjne, żeby nie zniechęcać, a jednocześnie dyskretnie uświadamiać i wskazywać błędy oraz drogę do doskonałości . Ten problem jasno postawił wiceminister Kultury i Sztuki Z. Garstecki na olsztyńskim zjeździe regionalistów (1967 r.): *Społeczne uznanie dla towarzystw regionalnych ze strony instancji politycznych, rad narodowych, instytucji i masowych organizacji, słowem całego społecznego środowiska, traktowanie ich jak współpartnera w realizacji zadań kulturalnych — oto niezbędne warunki rozwoju, żywotności i aktywności skupionych w towarzystwie „miłośników ziemi".*

Dużo już w tym kierunku dokonano, tak ze strony władz jak i twórców zawodowych, ale zalecenia te nie straciły jeszcze na aktualności, szczególnie w Polsce gromadzkiej i powiatowej.

Trudno mówić o jakimś jednolitym programie działalności, bo każdy region wyróżnia się swoją specyfiką w tradycjach, zamiłowaniach, inicjatywach. Ale wszystkie stowarzyszenia można podciągnąć pod jeden wspólny mianownik — wychowanie regionalne, a to przez zaangażowanie członków w sprawy nie tylko kulturalne, lecz i gospodarcze, popularyzację wiedzy o najbliższym środowisku, rozwijanie twórczości amatorskiej i pracy naukowo-badawczej, pielęgnowanie folkloru i sztuki ludowej, wydawanie publikacji regionalnych, organizowanie imprez, odczytów, zespołów, wystaw itp.

Na pytanie, jaka grupa społeczna najliczniej bierze udział w pracach regionalnych — należy na przykładzie powiatu lubartowskiego powiedzieć, że nauczycielstwo, na drugim miejscu bibliotekarze. Dni miejscowości, uroczystości na cześć patrona szkoły, sięgnie na lekcjach po wydawnictwo „Lubartów i Ziemia Lubartowska", do opowiadań starych ludzi — oto przykłady współpracy szkoły ze stowarzyszeniem. Bibliotekarze na seminariach wzbogacają wiedzę o powiecie przez prelegentów mówiących o przeszłości i współczesności Ziemi Lubartowskiej. Dobrze układa się współpraca z miejscowym PDK. Jeśli chodzi o zakłady pracy, urzędników, młodą inteligencję — to raczej nie włącza się ona do działalności regionalnej. Trudno jest dociec, dlaczego np. takie organizacje jak ZMS, ZMW czy ZHP wykazują obojętność na sprawy regionalne: może brak propagandy na ten temat, może niedocenianie twórczych i wychowawczych wartości regionalizmu? Faktem jest, że stowarzyszenie odczuwa brak młodych miłośników ziemi.

Hasło: *Stawiamy na szkołę* na gruncie lubartowskim zdało egzamin w pełni, o czym głośno jest w całym kraju. Ale nas, regionalistów, interesowałoby hasło o nieco zmienionej treści: *stawiamy na młodzież*. Wiadomo, starzy regionaliści wykruszają się, to powoduje zastój w pracy towarzystw i trudności w realizacji podjętych zadań.

Niemałe znaczenie w pracy towarzystwa ma aktywizacja członków. Zwykle bywa tak, że przyjmuje się pewną liczbę chętnych, zbiera się od nich składki, wręcza ewentualny biuletyn czy jednodniówkę (jeśli jest redagowana) i na tym sprawa się kończy. Próbą prawdziwej aktywizacji członków byłoby zakładanie kół terenowych z odpowiednim planem pracy, proponowanie członkom wykonanie konkretnych zadań, organizowanie imprez dających jakiś dochód itp.

Idzie o to, żeby każdy członek towarzystwa dał jakiś wkład od siebie i stał się nie tylko konsumentem, ale i współtwórcą kultury w swoim regionie. Zbiorowe działanie nawet przy niewielkim wysiłku zawsze jest bardziej owocne.

Ważnym problemem do rozwiązania jest sprawa propagowania regionalizmu w prasie. Pojawiają się wprawdzie sporadyczne, dziennikarskie artykuły lub krótkie informacje w Sztandarze Ludu", „Kurierze Lubelskim"i „Kamenie", ale to jest stanowczo za mało. Poza tym piszą je przeważnie publicyści zawodowi, amatorzy zaś najwyżej przekazują swoje sprawy w wywiadzie lub audycji radiowej. Propozycja jest taka, by na stałe wygospodarować w prasie lubelskiej odpowiednie miejsce, chociażby stronę na miesiąc, dla regionalistów całego województwa, by mogli bezpośrednio pisać o swoich kłopotach, trudnościach, osiągnięciach oraz eksponować ciekawsze pozycje twórcze.

Towarzystwa regionalne działają na zasadzie dobrowolności i bezinteresowności; należy im zapewnić nie tylko swobodę działania i życzliwość, ale także konkretną pomoc oraz oparcie w instytucji nadrzędnej w postaci opiekuna. Mogłoby nim być np. Towarzystwo Miłośników Ziemi Lubelskiej (które należałoby powołać).

W naszych obecnych warunkach regionalizm ma duże szanse rozwojowe i szerokie pole działania. Trzeba jednak energiczniej mobilizować społeczeństwo do współpracy i aktywizować członków choćby przez piękne, patriotyczne wezwanie Towarzystwa Miłośników Ziemi Gliwickiej: *Pokochaj ziemię, na której żyjesz i pracujesz!*

XII tom Rocznika Lubelskiego

OSTATNIO ukazał się na półkach księgarskich kolejny, dwunasty tom „Rocznika Lubelskiego" za rok 1969. W ten sposób redakcja nadrobiła kilkuletnie opóźnienie w jego wydawaniu. Następny, trzynasty tom, ma ukazać się już z aktualną datą w 1971 r.

„Rocznik Lubelski" wydawany jest przez Lubelski Oddział Polskiego Towarzystwa Historycznego na zlecenie i z subwencji Prezydium WRN w Lublinie, Wydawnictwo Lubelskie zapewnia mu staranną szatę edytorską. Redaktorem naczelnym jest prof. dr Kazimierz Myśliński, sekretarzem redakcji doc. dr Albin Koprukowniak.

Szeroka i ciekawa problematyka artykułów może z pewnością zainteresować nie tylko osoby parające się zawodowo dziejami regionu lubelskiego. Tym więc dziwniejszy wydaje się fakt stałego obniżania nakładu, który obecnie wynosi 500 egzemplarzy, podczas gdy jeszcze parę lat temu — 1 000 egzemplarzy. Jakie przyczyny powodują ten stan rzeczy?

Rocznik może i powinien zainteresować, oprócz historyków, także nauczycieli, działaczy społeczno-politycznych, towarzystwa regionalne, miłośników historii i jej sympatyków. Aby do tego doszło, należy zwrócić uwagę instytucji i poszczególnych osób na jego wysoką wartość poznawczą, na możność wykorzystania go do nauki historii, propedeutyki nauki o społeczeństwie, na zajęciach z wychowania obywatelskiego, a także w pracy społeczno-politycznej.

Tom XII zawiera pięć podstawowych artykułów poświęconych problematyce historyczno-regionalnej. Tym razem dotyczą one wybranych zagadnień z dziejów regionu lubelskiego od połowy wieku XIX do czasów dzisiejszych.

I tak mgr Stanisław Wiśniewski, pracownik naukowy Zakładu Historii Nowożytnej UMCS, w artykule „Położenie chłopów i konflikty społeczne na wsi łukowskiej w przededniu uwłaszczenia" ukazuje na przykładzie wsi łukowskiej życie chłopów na ziemiach polskich w połowie XIX wieku. Wieś ta była wtedy widownią częstych konfliktów społecznych, których nasilenie wzrosło zwłaszcza na początku lat sześćdziesiątych XIX w. Artykuł wzbogacony jest kilkoma tabelami ciekawych danych statystycznych.

Doc. dr Zygmunt Mańkowski z Zakładu Historii Najnowszej UMCS przedstawia swój artykuł „Lubelszczyzna w latach drugiej wojny światowej (charakterystyka ogólna, rola historyczna, stan badań i postulaty badawcze)".

Autor udowadnia, że Lubelszczyzna właśnie w tym okresie stała się de facto regionem historycznym takim, jakim od wieków była Małopolska, Wielkopolska czy Śląsk. Ze spostrzeżeniem tym ściśle związane jest następne, stwierdzające wyraźną specyfikę polityki okupanta na tym terenie. Lubelszczyzna początkowo miała stanowić „rezerwat" dla ludności żydowskiej, zwiezionej tu z całej Europy. Ale już od połowy 1941 r. plany uległy zmianie. Teren ten miał stać się pierwszym na wschodzie osiedleńczym okręgiem dla Niemców. Dlatego tak licznie i krwawo występują tu akcje pacyfikacyjne, egzekucje i inne formy terroru i eksterminacji. Autor podaje liczby, ilustrujące tragedię społeczeństwa Lubelszczyzny. Wiele miejsca poświęca także ruchowi oporu i na podstawie różnych tabel udowadnia, że Lubelszczyzna stanowiła region o największym nasileniu ruchu oporu i partyzantki (tak polskiej jak i radzieckiej).

Doc. dr Mikołaj Waleszko, obecnie pracownik naukowy Uniwersytetu Śląskiego, jest autorem kolejnego artykułu pt. „Zmiany w strukturze społeczno-gospodarczej regionu lubelskiego (1950—1970)". Ukazuje tu przeobrażenia, jakie zaszły w strukturze społeczno-gospodarczej Lubelszczyzny w okresie Polski Ludowej, skupiając się głównie na latach 1950—1965 oraz, dla celów porównawczych, sięgając do następnej pięciolatki. Liczne tabele przekonują o ogromnych sukcesach osiągniętych na Lubelszczyźnie dzięki rozwojowi ekonomicznemu tego regionu. Mimo tych sukcesów występują jeszcze poważne braki we właściwym ukształtowaniu struktury społeczno-gospodarczej.

Artykuł „Ochrona zabytków w województwie lubelskim w latach 1944—1968", pióra mgr Mieczysława Kurzątkowskiego, Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, pokazuje całokształt prac nad ochroną zabytków. Działalność konserwatorska nie ogranicza się bynajmniej do prac restauracyjnych. Polega ona także na współuczestniczeniu w sporządzaniu ogólnych planów zagospodarowania przestrzennego ośrodków miejskich, co pozwala na utrzymanie ich wartości historycznej. Dzięki tak ukierunkowanym pracom udało się odbudować liczne obiekty zabytkowe zniszczone zębem czasu, działaniami wojennymi lub akcjami okupanta. Nie wszystkie jednak doczekały się zainteresowania i opieki. Jako przykład może posłużyć XVI-wieczna cerkiew w Szczebrzeszynie, która do tej chwili stoi bezpańsko. Cennym dodatkiem do artykułu są liczne ilustracje.

Ostatnim z grupy historyczno-regionalnych jest artykuł absolwentki UMCS, mgr Zofii Nowickiej, „Szkolnictwo podstawowe w powiecie tomaszowskim (1944—1968)". Autorka, posługując się przykładowo danymi z terenu powiatu tomaszowskiego, daje obraz sytuacji panującej w szkolnictwie Lubelszczyzny w pierwszych latach po zakończeniu wojny oraz ukazuje bujny rozwój tego szkolnictwa. Mimo szeregu trudności proces odbudowy szkolnictwa zakończony został w 1950 r., kiedy to rozpoczyna się jego intensywna rozbudowa. Rozwija się sieć nowoczesnych szkół, wzrasta liczba pomocy naukowych, podręczników, zwiększyły się zasoby bibliotek. Ogromną rolę odegrała też sama ludność, która np. w powiecie tomaszowskim w odpowiedzi na hasło „Tysiąc szkół na Tysiąclecie" zebrała sumę 14 553 000 zł, za które to pieniądze wybudowano kilka szkół podstawowych.

Interesujący jest ponadto artykuł prorektora UMCS doc. dr. Wiesława Skrzydło „Systemy partyjne w ustroju socjalistycznym". Autor wskazuje, że na 14 istniejących państw socjalistycznych, połowa posiada system jednopartyjny. W pozostałych siedmiu występują dwie i więcej partii politycznych. W oparciu o genezę systemu wielopartyjnego i jego charakterystykę autor poszukuje odpowiedzi na pytanie, czy istnienie tego systemu w państwie socjalistycznym jest uzasadnione.

Druga część „Rocznika" przynosi wiele ciekawych recenzji, not i sprawozdań. Znalazła się tu także umieszczana od pewnego czasu bibliografia historii Lubelszczyzny. Tym razem obejmuje ona wszystkie publikacje krajowe (zarówno wydawnictwa książkowe, jak i artykuły oraz prasę naukową) za rok 1968 i opracowana została przez mgr Alinę K. Gromek.

Kronika zawiera m.in. sprawozdanie z rocznej działalności Oddziału Lubelskiego Polskiego Towarzystwa Historycznego oraz opracowane przez prof. dr Myślińskiego i dr J. Szymańskiego sprawozdanie z seminarium naukowego z okazji 150 rocznicy urodzin Karola Marksa, a także inne informacje.

Andrzej Tołpyho

Najlepszą formą terminowego otrzymywania „Kameny" jest prenumerata

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

Przypuszczaliśmy, że już nic zdziwić, a raczej zadziwić nas nie potrafi w zakresie erotyki poetyckiej naszych autorów. Toteż i ten gatunek poetycki dość dawno nie gościł na łamach niniejszej rubryki. Lecz próbki literackie „Zakochanej Cziki" ze Świdnika poruszyły nawet nasze zblazowane gusta. „Cziks" donosi: „Jestem młoda i zakochana. A zakochani lubią pisać, więc piszę i ja. Przesyłam Wam moje wiersze. Jestem obiektywna i sama siebie umiem ocenić. Wiersze są złe, do druku się nie nadają, ja wiem, ale mój wybrany i koleżanki twierdzą, że dobre. Przepraszam, że fatyguję, ale poświęćcie mi, drodzy redaktorzy, trochę czasu i miejsca w piśmie tak pożytecznym, jakim jest Kamena. Łączę pozdrowienia." Z nadesłanych tekstów pozwalamy sobie sporządzić szlachetną kompozycję poetycką, litując się nad trudnymi dziejami miłości „Cziki":

Ty jesteś moją miłością,
Moim smutkiem, cieniem,
Każdą chwilą radosną.
Bogdziu, ja kocham cię.

Poznałam cię w noc ciemną,
Noc gwiaździstą.
Całowałam twoje usta
I pieściłam myśli twe.

Kocham cię jak noc bezchmurną,
Jak swe dziecię — to w kołysce.
Kocham, myślę i szaleję,
Jak bez ciebie jest mi źle.

Smutne są słowa, co giną bez celu.
Smutny jest uśmiech, gdy ból się uśmiecha.
Smutne są kwiaty, co giną bez słońca.
Lecz smutniejsze jest serce, co tęskni bez końca.

Umierając zakochana,
Brocząc w obłokach, marzeniach,
W krwi umoczonym palcem po ścianie
Wypisywałam: kocham Bogdana.

Wiersz mój zbroczony krwią moich ran,
Jeśli ma zginąć, niech poprzez moją śmierć
Głosi nadzieję: on mnie kocha — ja wiem.

Nie ośmielamy się opatrywać żadnym komentarzem tak intensywnego wybuchu uczucia.

moje LEKTURY

Barwy krajobrazu

WACŁAW Tkaczuk jako poeta nie należy do debiutantów typowych. Niemal od początku jego publikacjom poetyckim towarzyszyła proza i krytyka literacka; nie od rzeczy będzie przypomnieć, że Tkaczuk przed laty właśnie na łamach „Kameny" zaczynał działalność krytyczną w kolumnie „W stronę młodych" interesującymi szkicami i recenzjami. Ta wielotorowość zainteresowań i fakt, że poezja nie była dla Tkaczuka jedynym sposobem wypowiedzi, przyczyniły się chyba do pewnego opóźnienia jego debiutu książkowego. Wydaje się też, że ten fakt wpływa na częstotliwość jego wypowiedzi poetyckich i dzisiaj. Tkaczuk — po norwidowsku — raczej bywa poetą niż jest. A takie podejście do poezji daje chyba więcej korzyści niż zawodowe pisanie wierszy. Równocześnie jednak ma wówczas poeta mniej impulsów do nieustannej pracy twórczej, kształtowania sposobów i narzędzi wypowiedzi, doskonalenia sztuki poetyckiej. Poza tym, jako krytyk i poeta w jednej osobie, ma to, co można by nazwać „nadmiarem świadomości", która ogranicza swobodę pisarską. Może dlatego Tkaczuk najchętniej skłania się do wierszy stanowiących raczej urywki i fragmenty, a nie skończone całości. Na szczęście fragmentaryczność wierszy Tkaczuka łączy się z dużym wdziękiem, subtelnością metaforyki i lotnością obrazów.

Autor umieścił na czele swego tomu wiersz bez tytułu zaczynający się zdaniem:

Jabłoneczko, twoje gałązki
obracają talerz nieba

Cały utwór wyraża tęsknotę za utraconym światem dzieciństwa. W przywołanym zdaniu nakłada się kilka spraw: dynamika pejzażu, ożywiająca utwór personifikacja, dzięki której drzewo staje się postacią działającą oraz widzenie i odczuwanie świata ze stanowiska dziecka. Równocześnie ten dwuwiersz prowadzi czytelnika ku głównym pokładom poetyckiego świata Tkaczuka. Składają się nań, co zapowiada zresztą tytuł tomiku, elementy krajobrazowe. Ale pejzaż nie istnieje tu sam dla siebie — pojawia się jako przedmiot obserwacji, jako źródło przeżycia, pozostaje zawsze w relacji do człowieka. W młodej poezji dawno już nie spotkało się takiego uwrażliwienia na mowę przyrody, jak choćby w tych słowach Tkaczuka:

Zboża szelest niejednolity: Jeśli
uważnie ktoś słucha, najpierw
kłosy usłyszy, później łodygi gdzie
umierać poczyna korzeni kruchość, wypełniająca ziemię po brzegi!...

Bohater liryczny wierszy Tkaczuka jest „wsłuchany w siebie", poznaje „czas kwiatów, owoców i nasion".

Powierzchowne odczucie czytelnika mogłoby tego rodzaju utwory łączyć z poezją typu J. A. Frasika, ale byłby to wniosek mylny. W niektórych wierszach Tkaczuka wyczuwa się raczej inspiracje Czechowicza (nie dziwne to, jeśli czyta się na okładce informację, że autor studia polonistyczne odbywał w Lublinie) i autentystów, ale tych spod znaku Jana Bolesława Ożoga, do którego Tkaczuk nawiązuje wprost w jednym z wierszy. Nie mam jednak na myśli okazywanej ostatnio przez Ożoga skłonności do poezji o podkładzie mitologicznym i archetypicznym, lecz o odczuwaniu dramatyczności i tragizmu istnienia. U Tkaczuka „zaciemnienie" świata jest łagodniejsze; ale jednak jakże inaczej poeta ukształtował poniższy pejzaż, niż cytowany na początku:

Z kwiatów na grobie leci ku mnie pszczoła.
Z kwiatów? — Z przepaści, dokąd kwiat się chyli
przed wyciągniętą ręką. Z czarnego leci koła,
z obręczy wytoczonej przez zgasłą już gorączkę!...
A tam? Pyły w swym nurcie skrzynię niosą?

Takich czarnych kwiatów i czarnych pejzaży jest w „Skrzydle liści" więcej i one równoważą wiersze o podkładzie raczej sielankowym, a nawet — jak w cyklu „Jak nóż" — zdobywają przewagę. One także wyznaczają krąg najciekawszych i najwartościowszych utworów. Składają się na to jeszcze takie czynniki, jak bogactwo wcieleń podmiotu lirycznego, zróżnicowanie sytuacji poetyckich, nawiązanie do bardzo ogólnie pojmowanej historii oraz, co szczególnie rzuca się w oczy, zanurzenie spraw ludzkich w rzeczywistości biologicznej. To poczucie niejednoznacznej łączności ze światem towarzyszy poecie nieustannie i jest to znowu pogłos kompleksów wyniesionych z dzieciństwa, jakby mógł o tym świadczyć choćby ten urywek:

Niepokoi do dzisiaj i to, że ujrzawszy raz pierwszy
kwiat na skoszonej łące, zakrzyczałem w strachu,
wielkim i żalu, i trzeba było mój płacz utulać
długo;

Przypominają się w tym miejscu wczesne wiersze Piętaka, z ich obsesjami, urazami i nieukrywaną emocjonalnością. Tkaczuk jednak stara się wzruszenia opanowywać, obejmować je rygorami, które są bardzo widoczne. Nawet fragmentaryczność kompozycji nie przeszkadza poecie w trosce o budowę całości niższego rzędu, starannie rozwija rytmiczny porządek wiersza, bogaci linie intonacyjne utworów. Jak na pierwszą książkę poety to nie jest mało, od debiutu więcej oczekiwać nie można.

Tadeusz Kłak

Wacław Tkaczuk: Skrzydło liścia. Warszawa 1970. Iskry.

Krzyżówka nr 4

POZIOMO: 1. wieszcz, 8. rozpoczyna budowę, 9. danie mięsne, 10. ziaseczko z południowych ziarn, 11. matka Zeusa, 12. poczet, orszak, 13. dopływ Dunaju, w Czechosłowacji, 14. kwestionariusze, 16. więzienie zwierząt, 18. powieściopisarka polska, autorka „Granicy", 21. widownia wznosząca się półkoliście lub kolisteie, 24. afisz, 26. nie skłania się w żadną stronę, 29. zabawa, 30. zebranie, 32. dopływ Wisły, 33. w balecie, 34. instrument w kształcie małej fisharmonii, 35. straż, ochrona, 36. pisarz polski, autor wielu powieści historycznych.

PIONOWO: 1. metr, litr, kilogram, 2. owoc południowy, 3. część państwa otoczona ze wszystkich stron przez terytorium innego państwa, 4. działa podstępnie, 5. znany polski automobilista, 6. więcej niż krzyk, 7. zespół przedmiotów lub zjawisk wzajem się uzupełniających, 8. aplikant, stażysta, 15. organ kontrolny sejmu, 18. miasto powiatowe w woj. lubelskim, 17. wywabia plamy, 19. niegrzeczność, ordynarność, 20. przepływa przez Bory Tucholskie, 22. pisarz amerykański, laureat Nagrody Nobla w 1949 roku, 23. imię autorki „Wędrówek Joanny", 24. osłona przed pociskiem, 25. członek pierwszego triumwiratu, 27. popularna roślina o pachnących kwiatach, 28. gałganek, ciuszek, 31. rodzina lutników włoskich.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody — bony książkowe.

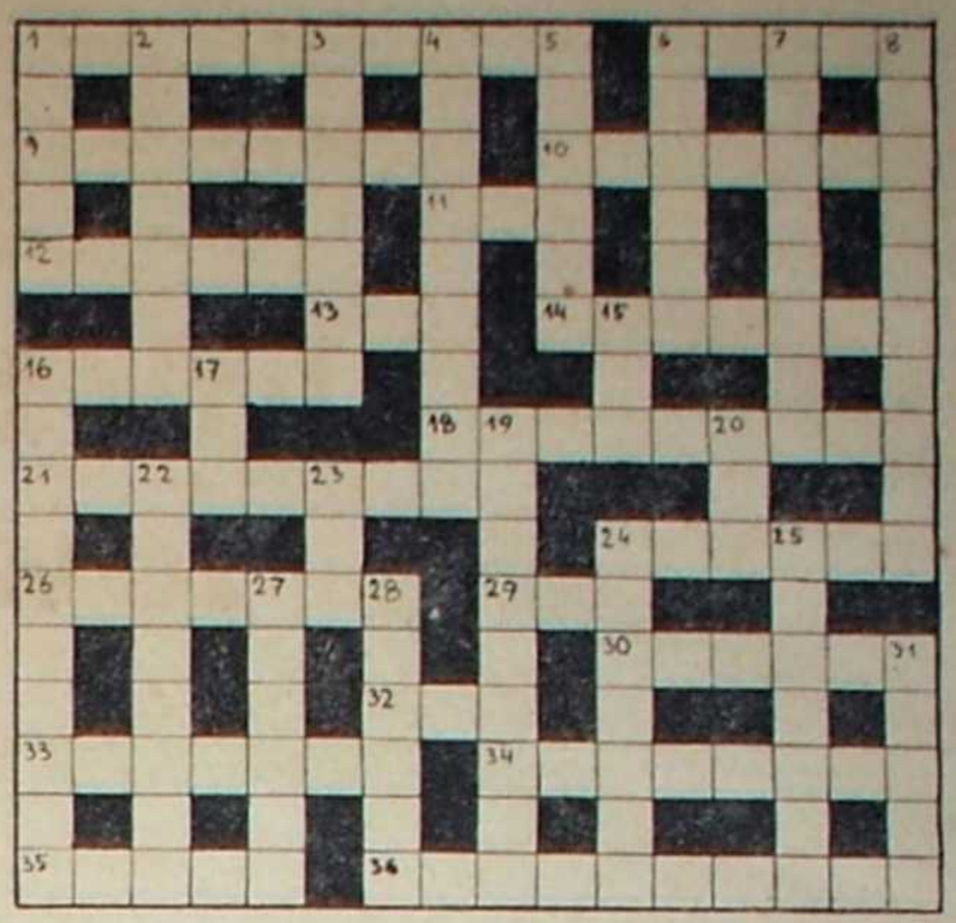

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 2

Poziomo: Korczak, Staszic, Raba, patronat, monokle, suma, tona, ars, zupa, Idy, Narew, Szewczenko, takt, jaz, gem, Spa, sito, Kasprowicz, anons, yen, puch, San, ster, long, Irokezi, etażerka, NATO, granica, Nirwana.

Pionowo: kapitan, Rittner, złom, Krasnystaw, samar, Arno, Zakopane, Czeszko, atu, Madej, Soczi, iwa, ansa, etap, Waszyngton, Egon, kmin, klops, pszczoła, wiano, tan, Kipling, Osterwa, sarmata, Alina, kepi, net, ażur.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 2 nagrody wylosowali:

Wacław Mazurek, Fajsławice, pow. Krasnystaw, m. Oleśniki, Janina Anusiewicz, Uchanie, pow. Hrubieszów, woj. Lublin, Jadwiga Koper, Lubsko ul. Chrobrego 18/2 woj. zielonogórskie, Ryszard Staniak, Radom ul. Żeromskiego 72/1.

Lubelska oficyna w 1971 roku

Ryszard Dunin

W ROKU bieżącym Wydawnictwo Lubelskie rozpoczęło jedenasty rok swej pracy edytorskiej a w roku 1972 obchodzić będziemy 15-lecie lubelskiej oficyny wydawniczej, licząc od założenia Lubelskiej Spółdzielni Wydawniczej.

Zadania edytorskie na rok bieżący obejmują wspólnie z pozycjami zleconymi ponad 70 tytułów, a plan wydawniczy odznacza się dużą różnorodnością tematyczną. Nie sposób w jednym artykule przekazać pełnego omówienia planu wydawniczego, stąd też ograniczymy się do niektórych grup tematycznych i wyeksponowania tych tytułów, które z racji zainteresowań czytelniczych zasługują na szczególne spopularyzowanie.

Niewątpliwym wydarzeniem edytorskim w skali ogólnopolskiej będzie opublikowanie pierwszych (z 12 zamierzonych) 6 tomów „Dzieł" Ewy Szelburg Zarembiny, wydawanych z racji przypadającego w roku 1972 pięćdziesięciolecia pracy twórczej tej niezwykle popularnej i zasłużonej literaturze polskiej autorki.

Nie mniej ważnymi pozycjami będą niewątpliwie pierwsze 4 tomy „Pism" Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, zawierające zarówno oryginalną twórczość poetycką jak i przekłady z literatur słowiańskich. Pierwszy tom, poprzedzony przedmową Jarosława Iwaszkiewicza, ukaże się już niebawem.

Wydawnictwo Lubelskie podejmuje także, po raz pierwszy w roku bieżącym, edycję literatury szkolnej w wydaniu masowym. Będą to książki: Tadeusza Glinki „Burza majowa" i Moniki Warneńskiej „Wiatr za progiem".

Literaturę piękną reprezentować będą zarówno utwory klasyczne jak i współczesne, tomy wierszy, opowiadań i powieści. M. in. opublikowane zostaną „Kroniki nałęczowskie" Bolesława Prusa w opracowaniu Tadeusza Kłaka, szkice literackie Józefa Czechowicza pt. „Wyobrażenia stwarzające", wiersze Tadeusza Bocheńskiego pt. „Smutek triumfalny", przekłady poezji rosyjskiej Anatola Sterna pt. „Piliśmy pieśni" oraz tom opowiadań Waldemara Babinicza pt. „Biesiady z kumplami".

Z prozy współczesnej warto odnotować następujące powieści: Jadwigi Dackiewicz „Paryż zdradzony czyli Izabela Czartoryska", Aleksandra Omiljanowicza „Duch Białowieży", Ferdynanda Zamojskiego „Ciemność"; dalej opowiadania: Jerzego Gałuszki pt. „Powrotne kroki, Tadeusza Czajki „Zabłąkani" i Zofii Kwiecińskiej „Przewoźnik" oraz debiuty prozatorskie lubelskich pisarzy — Czesława Klepackiego „Fragmenty jednego życia" i Zbigniewa Stepka „Most". Szczególnie cenną pozycję stanowić będą niewątpliwie wspomnienia pt. „Spotkania z Czechowiczem" pod redakcją Seweryna Pollaka.

Wydawnictwo Lubelskie w roku bieżącym, podobnie jak i w latach poprzednich, poświęci wiele uwagi regionowi lubelskiemu, zwłaszcza problematyce społecznej, gospodarczej i kulturalnej. Nakładem WL ukaże się więc kilka ciekawych publikacji, m. in. trzecie już, poszerzone wydanie książki Jerzego Dostatniego pt. „Lubelszczyzna w XXV leciu PRL", „Kronika budowy puławskich Azotów" Anny Radczak, „Pamiętniki puławskie" pod redakcją doc. dra Franciszka Jakubczaka, „Terenowe nazwy własne Lubelszczyzny" doc. dra Michała Łesiowa, „Historia Lublina w zarysie", „Lubartów i powiat lubartowski" oraz wiele innych pozycji.

Dużą wartość dla czytelników, interesujących się dorobkiem naszego województwa w dziedzinie kultury, będzie miała książka Zbigniewa Frąca pt. „Kultura Lubelszczyzny w XXV-leciu Polski Ludowej".

Tematykę historyczną, szczególnie z historii najnowszej Lubelszczyzny reprezentować będą nowe tomy prac z cyklu „Źródła i dokumenty do dziejów ruchu oporu na Lubelszczyźnie", a mianowicie dwutomowa publikacja Ireneusza Cabana i Zygmunta Mańkowskiego pt. „Związek Walki Zbrojnej i Armia Krajowa w okręgu lubelskim" (1939—1944), „Szkice z lat okupacji Lubelszczyzny" Leszka Siemiona, „Z dziejów polsko-radzieckiego braterstwa broni" W. Góry i M. Juchniewicza i inne. Jednocześnie tematykę wojenną i okupacyjną uzupełnią takie publikacje jak V tom „Zeszytów Majdanka", „Leśne fronty" Wojciecha Sulewskiego, „Żołnierskie drogi" Cezarego Leżeńskiego oraz „Kolczasty trakt" Stanisława Chwiejczaka, b. więźnia Majdanka. W ramach naszej serii wydawniczej „Miniatury" ukaże się pięć nowych tomików, w tym: Mirosława Dereckiego „Tropem majora Hubala", Wojciecha Sulewskiego „Rajd Werszyhory", Cezarego Leżeńskiego „Konspiracyjna fabryka broni", Stefana Smarzyńskiego „Akcja Góral" i Leszka Siemiona „Kapitulacji nie będzie". Tytuły te ukażą się w masowych wydaniach.

Czytelnikom najmłodszym Wydawnictwo Lubelskie przekaże piękny tom baśni Ewy Zarembiny pt. „Bardzo dziwne opowieści" z rysunkami Jana Marcina Szancera oraz książkę Jadwigi Kozieradzkiej „Wyprawa po skarby" z ilustracjami Eryka Lipińskiego, „Bajkę o niedźwiedziach, niedźwiedziątku i małym złotowłosym dziewczątku" Franciszki Arnsztajnowej w opracowaniu graficznym Zbigniewa Lengrena (IV wydanie).

Dla dzieci starszych i młodzieży opublikujemy nową powieść współczesną Wiktora Zawady pt. „Szukam pana Kalandra", Marii Józefackiej pt. „Karkołomna gra" i Ryszarda Kraśki „Diabelski zakręt".

Cennym wydarzeniem edytorskim roku 1971 będą niewątpliwie dwa albumy Zenona Kononowicza i Jana Zabińskiego pt. „Zwierzęta mówią" (ssaki i ptaki), a także teka graficzna Witolda Chomicza „Lublin. Stare mury".

Z publikacji, zaspokajających coraz powszechniejsze zainteresowanie współczesnego czytelnika problemami ogólnoświatowymi, wymienić należy: „Wojnę domową na Kubie" w opracowaniu Wacława Morawskiego i „Pożegnanie Hawany" H. Oleńskiej Zalewskiej.

W ramach planu wydawniczego bieżącego roku opublikowane również zostanie „Wesele lubelskie" w opracowaniu Tadeusza L. Nycza oraz tytuły cykliczne m. in. „Rocznik Lubelski", „Rocznik Ogniska Nauczycielskiego", „Lubelski Rocznik Pedagogiczny", „Logopedia", „Kalendarz Lubelski" i drugi tom „Zeszytów Historycznych Biblioteki Społeczno-Politycznej".

Nakład ogólny tytułów, które Wydawnictwo Lubelskie zamierza wydać w roku 1971, przekroczy 700 tys. egzemplarzy, a wartość katalogowa osiągnie 15 mln złotych. W stosunku do lat poprzednich oznacza to dalszy dynamiczny rozwój lubelskiej placówki edytorskiej, która coraz pełniej sprawuje swą społeczną rolę w podnoszeniu stanu oświaty i kultury Lubelszczyzny.

Listy do KAMENY

O witrynę Wydawnictwa Lubelskiego

Jeszcze dobrze nie wyschła farba na nowym, XII tomie „Rocznika Lubelskiego", gdy chciałem kupić jeden egzemplarz w księgarni przy ul. Krakowskie Przedmieście 29. W samym centrum miasta. Niestety już nie było, co chyba jest dowodem, że nakład ustalono na zbyt niskim poziomie.

Ale nie tylko o to mi chodzi. Wydawnictwo Lubelskie wydaje tyle książek, i to o bardzo różnej tematyce, że prasa lokalna może zamieścić krótkie noty tylko o niektórych. O pozostałych czytelnik albo dowiaduje się przypadkiem, albo zbyt późno, aby jakąś ciekawszą pozycję kupić. Może nawet niektóre tytuły spoczywają sobie spokojnie w magazynach, bo rzekomo nie mają nabywców, natomiast potencjalni klienci nic nie wiedzą o ukazaniu się tych książek.

Było by dobrze, gdyby Wydawnictwo Lubelskie i Dom Książki dogadały się i w jednej z księgarń w centrum urządziły stałą ekspozycję książek lubelskich. Jeżeli księgarnia przy „Kurope" jest zbyt mała, to taką lokalną witrynę bez większego trudu można wykonać w jednym z okien wystawowych księgarni na rogu ul. Szopena. Taką stałą ekspozycję można zrobić dosłownie za parę groszy, z pożytkiem dla wydawcy, sprzedającego, a przede wszystkim klienta.

Stanisław Barnaś
Lublin

„Lublin roku 2000"

Z zaciekawieniem przeczytałem artykuł „Lublin roku 2000" w nr. 2 Waszego pisma. P. Romuald Wiśniewski napisał wiele słusznych rzeczy o trudnościach, jakie muszą pokonać urbaniści i architekci, planujący przyszłość miasta. Tych trudności zresztą jest wiele więcej.

Niestety, w artykule nie znalazłem odpowiedzi, a nawet sugestii, czy lubelscy urbaniści te i inne sprawy biorą pod uwagę czy nie. Plan zagospodarowania przestrzennego Lublina był już kilka razy opracowywany, w każdej pięciolatce ulega aktualizacji. Chciałbym więc dowiedzieć się od p. Wiśniewskiego, czy dotychczasowe plany były i w jakim procencie realizowane. Może to są trudniejsze problemy, niż wysuwanie kłopotów, ale jeżeli powiedziało się a, trzeba powiedzieć b. Inaczej cały artykuł może wyglądać na pouczanie urbanistów i architektów przez człowieka, który w tej dziedzinie poza tzw. zdrowym rozsądkiem nie posiada jednak wystarczającego kwantum wiedzy fachowej.

Inżynier — nie urbanista
(Nazwisko i adres znane redakcji)

„Kobieta w czerni"

Bardzo mi się podobało opowiadanie Romana Fedoriwa „Kobieta w czerni" („Kamena" nr. 2). Ludzkie, proste, przepojone miłością do człowieka i sztuki, pełne ogólnoludzkich podtekstów. I zastanawiam się, dlaczego u nas tak wielu literatów (a zwłaszcza kandydatów na literatów) sili się na konstruowanie sztucznych akcji, wymyśla nieprawdopodobne konflikty, poszukuje trzeciego dna, podczas gdy już na pierwszym toną.

Wł. Rzewulski
Kielce

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), TADEUSZ KŁAK, ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji:
Lublin, ul. Narutowicza 35

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 253-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencje zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecona i ekspresowa — pod adresem redakcji.

LZGraf. Zam. 253. 27.I.71. 11.300 A-5

Jak tam u Was towarzysze?

KAŻDY dzień obfituje w nowe wydarzenia, dwutygodnik ze swoim harmonogramem druku z epoki Gutenberga nie może nadążyć za biegiem wydarzeń. Pocieszamy się, że dziennik też nie może, choć wielkiej satysfakcji to nie daje. Ale o tym nieco dalej.

Musimy szukać nowych słów — nawołuje Roman Bratny w „Kulturze". Ma na myśli głównie prasę i telewizję. Lektura tygodników i dzienników warszawskich wskazuje, że nie jest to wołanie na puszczy. „Trybuna Ludu" z 30 stycznia ub.m. pisze m.in. w artykule p.t. „Metoda działania": *„Trzeba (...) postawić pytanie adresowane już nie do kierownictwa lecz do województw, miast, powiatów, dzielnic, zakładów, instytucji, gromad, wsi — do wszystkich ogniw partii, a także do administracji i władz organizacji społecznej: jak tam u Was, towarzysze, z wdrażaniem nowych metod i nowego stylu? (...) Jak u Was tworzy się i umacnia nowy sposób prowadzenia rozmowy?"*

Właśnie — jak? Możemy, oczywiście, z zadowoleniem zatrzeć ręce i powiedzieć, że w naszym województwie nie doszło do żadnych „nieodpowiedzialnych wybryków", że społeczeństwo popiera pracą nowe kierownictwo. Niemniej trzeba jednak więcej zadbać o sprawy socjalne załóg robotniczych, bo na tym polu są faktyczne niedociągnięcia.

A sposób naszego myślenia, styl naszego działania — wszystko tu jest cacy-cacy?

Na podstawie lektury lubelskiej prasy taki wniosek nasuwa się sam przez się. Do dnia 30 stycznia, kiedy piszę te słowa, nie natrafiłem na żaden artykuł pióra lubelskiego dziennikarza, który zająłby stanowisko wobec tego, co zaszło w kraju po tragicznych wydarzeniach grudniowych. W prywatnych rozmowach słyszy się: „Owszem, ja bym napisał o tym i o tamtym, ale mi tego nie wydrukują". Ejże? A może przyzwyczailiśmy się do wygodnictwa, zbierania informacji przez telefon i czekania na wytyczne? Łatwo wypaść z pędzącego pociągu, kiedy jest się podróżnym i czepia klamek. Rzadko jednak kiedy wypada z parowozu pomocnik maszynisty. A dziennikarz musi być pomocnikiem maszynisty — partii. Partyjny dziennikarz. A takich jest nas w Lublinie przecież większość.

Tym razem wytycznych nie będzie. Przyzwyczailiśmy się do nich i trochę nam jakby głupio. Potłukły się różowe okulary. No to załóżmy nowe, nawet ze zwykłymi szkiełkami, byle nie matowymi...

Klasycznym przykładem złego stylu naszej, dziennikarskiej, pracy jest informacja, jaka ukazała się w „Sztandarze Ludu" z dnia 28 stycznia 1971 (słownie: siedemdziesiątego pierwszego) roku p.t.: „Z udziałem ministra zdrowia, prof. dr Jana Kostrzewskiego — Otwarcie Profilaktycznego Domu Zdrowia w Nałęczowie". Już z samego wstępu dowiedzieliśmy się, że w otwarciu wzięli udział... tu dziewięć imion i nazwisk oraz wykaz stanowisk w/w. List do redakcji „Polityki" (nr. 5/71) jako komentarz pasuje tu jak ulał: „Skończyć z celebrowaniem, wizytami, akademiami ku czci, przemówieniami, spotkaniami... Strata czasu, nic z tego nie wynika. Minister ten a ten przyjechał do Krakowa. Powitał go ten a ten. Co to kogo obchodzi? Przyjechał, niech załatwi, co trzeba, bez hałasu i ostentacji".

Właśnie — bez hałasu i ostentacji. Nie sądzę, aby znany mi osobiście od 20 lat przewodniczący ZO ZZPSZ, doc. dr Jerzy Iskierko, obraził się śmiertelnie na prasę, że ta pominęła jego nazwisko w związku z przyjazdem do Nałęczowa na wspomnianą wyżej uroczystość. Wydaje mi się, że i inne osoby wolałyby pozostać w cieniu. Przepraszam, może mi się tak tylko wydaje...

Ale — jedźmy dalej. W kolejnej części informacji następuje streszczenie przemówień Dwóch Oficjeli. Ze sprawozdania można wnioskować, że uzgodnili oni uprzednio między sobą teksty swych wystąpień, gdyż — cytuję: *„Obaj mówcy podkreślili konieczność dalszej rozbudowy bazy wypoczynkowo-leczniczej..."* Uff — był film „Baza ludzi umarłych", są bazy wojenne, okazuje się, że istnieją jeszcze bazy wypoczynkowo-lecznicze. Ale, na litość Nieba, co w końcu w tym Nałęczowie otwarto? Jest! Na szczęście reporter wyłowił z przemówień istotny fragment: otwarto obiekt kosztujący 20 milionów złotych, w którym w ciągu roku będzie regenerować siły około 2 tysięcy pracowników służby zdrowia.

A czy nie można by inaczej? Zamiast wyliczać Oficjeli, zamiast streszczać przemówienia dziennikarz mógł przejść się spacerkiem po Domu Zdrowia, opisać pokoje, urządzenia lecznicze, warunki sanitarne. Po ludzku przedstawić to wszystko czytelnikom „Sztandaru Ludu".

Cóż, nie było wytycznych. „Srebrna fala" (pod taką winietką ukazywały się w „Sztandarze" artykuły w związku z obchodzonym niedawno 25-leciem pisma) odpłynęła. Pozostała tratwa. Po suchym lądzie daleko się na niej nie ujedzie.

MAJ

MINUTA MYŚLENIA

Czyja nora?

KLUB „Nora", czyli pracowników kultury i sztuki w Lublinie, to temat w jednakowym stopniu do studium socjologicznego, rozprawki psychologicznej, reportażu obyczajowego, artykułu publicystycznego, obszernej informacji i lakonicznej notatki. Do przemilczenia również. Skoro jednak swego czasu wypróbowano bez mała wszystkie wymienione formy wypowiedzi, a orientacji odnośnie optymalnej jego formuły nie ma, niech w rzędzie wyżej wymienionych prób znajdzie się również niniejszy felieton. By zespół bezskutecznych środków wyczerpać w komplecie.

A właściwie będzie to nie tyle propozycja programowa, co zwrócenie uwagi na pewne nieprawidłowości i badanego przedmiotu cechy krytyczne.

Pamiętamy z lekcji geometrii w pierwszych klasach gimnazjalnych o dowodzie na wprost: kiedy się jakiejś prawdy nie może dowieść, dowodzi się niesłuszności wszystkich jej przeciwieństw. Tak samo tu. Nie bardzo wiedząc czym „Nora" ma być, spróbujmy się zgodzić, co do tego, czym ma nie być.

Czy należałoby ze skrupulatnością Cerbera przestrzegać klauzuli, że w swym przeznaczeniu ma służyć wyłącznie ludziom spełniającym zajęcia wymienione w jego podtytule, a więc aktorom, plastykom, literatom, dziennikarzom, muzykom itp? Bynajmniej. Byłoby to nawet sprzeczne z tendencją, stosownie do której każda placówka o podobnym charakterze ma mieć otwarte drzwi dla całego środowiska, nie tylko zaś dla administracyjnie wyselekcjonowanego grona uprzywilejowanych. Czy jednak wynika stąd wniosek, że każdy, kto w godzinach popołudniowych nie ma ze sobą co zrobić, ma tam z racji przeżywanej nudy prawo wstępu? Też nie. Praktyka jednak wykazuje, że wystarczy parę razy prawem kaduka czy przypadku nie mieć trudności z wejściem, by tym samym zyskać niejako już całkiem zalegalizowane prawo bytności.

Przy odpowiedniej mnogości podobnych przypadków rezultat jest taki, że atmosferę miejsca przeznaczonego do spotkań ludzi w jakiś sposób czy w jakimś sensie współtworzących dorobek kulturalny naszego środowiska, kształtują indywidua prawie nie, lub niewiele z tym zajęciem mające wspólnego. Sama zaś programowa intencja placówki — wzajemny kontakt przedstawicieli środowisk artystycznych — egzystuje sobie na całkowitych marginaliach częstokroć bardzo ożywionego towarzyskiego chaosu.

Zauważmy też, jaką zmorą dla bywalców klubu bywają w „Norze" imprezy kuluralne. Intruz, zło konieczne, przykrość, wobec której należy się uzbroić w cierpliwość — oto tak zapisują się te wydarzenia we wrażliwość ludzi w zasadzie przychodzących tu dla relaksowego, ale kontaktu przecież w atmosferze ciekawej, żywej, pobudzającej intelektualnie.

Bynajmniej nie forsujmy stąd wniosku o potrzebie wymuszenia na bywalcach klubu hipokrytycznej postawy zainteresowania dla wszystkiego, co spływa tam ze sceny, czy od pierwszego przy scenie stolika, w ogóle nie wskazane jest jakiekolwiek wymuszanie w miejscu przeznaczonym na odpoczynek. Może więc znieść w „Norze" imprezy kulturalne usprawiedliwiając to tym, że ci ludzie (ale właśnie ci, pomyślani w intencji „Nory", a nie przypadkowi outsiderzy, którzy się później stają gospodarzami) w swej pracy zawodowej mają wystarczająco wiele do czynienia z takimi zajściami, więc czas odpoczynku pragną zapełnić treścią inną? Nie mamy „koncepcji programowej" — zgoda. Musimy się jednak zgodzić co do tego, że nieprawidłowością jest, kiedy impreza kulturalna jest postrachem, a co najmniej zajęciem pustym dla ludzi bądź co bądź na szyldzie swej placówki słowo „kultura" mających wypisane.

Nazwa klubu pomyślana była w sensie filuternej metafory. Wypada może przeciwdziałać temu, by utrwaliła się ostatecznie w sensie dosłownym.

I — całe nieszczęście — nie są to obawy przesadnie ostrożne. Przyjęło się nawet zaliczać do obowiązującego towarzyskiego tonu owe „relaksowe" rozprzężenie, w którym opinie wypowiadane są z nadmierną swobodą, za to z niewielkim zastosowaniem wartości intelektualnych, co nadaje niechlubny wyraz nawet w leksyce słyszanych tam wypowiedzi. Daleko „Norze" do literackiego salonu, nikt też nie stawia wymagań, by klub stał się miejscem towarzyskiego sympozjonu, skąd dochodzą echa ciekawych rozmów czy dowcipnych dykteryjek, ale jakieś kryteria towarzyszące tej placówce chyba nie są czymś sprzecznym z jej programowym charakterem. Weźmy pod uwagę, że treść prowadzonego tam współżycia jest również próbką specyfiki naszego środowiska, gdzież więc poszukam podstawy do sprostowań, jeśli np. reportażysta, czyniący lubelski rekonesans w materiale zaczerpniętym z „Nory", znajdzie asumpt do niekorzystnych dla nas sformułowań? Magnetofonowy autentyk świadczy przeciw nam.

Nie, nie podejmuję się tu niniejszym drętwych propozycji, ani nie przeprowadzam cioteczno-kanapowego zrzędzenia. Coś jest jednak nie tak, jeśli w miejscu przeznaczonym na kulturalną rozrywkę dość często słyszy się czteroliterowy wyraz o określonym charakterologicznym autoramencie.

Również — w wykonaniu damskim.

Ijon

NOTY i notki

„Przeczytaj, Ewo" — zachęca wielkim tytułem „Kurier Szczeciński" (nr 19). Więc, oczywiście, czytają mężczyźni i dopiero teraz zaczynają być w rozterce. Niejaka pani Leonarda zaczyna bowiem nadtytułem: „Uroda nie spada z nieba", potem w pierwszym zdaniu tekstu twierdzi, że „uroda jest darem niebios", a w pierwszym zdaniu drugiego akapitu, że „uroda nie jest darem bogów". Całe szczęście, że mężczyzn mniej interesuje rodowód kobiecej urody, a znacznie bardziej sama uroda.

Rozważaniami na temat jaka powinna być nasza literatura, zapisano już tony papieru. Może nawet więcej, niż użyto na napisanie samych książek. Ale oto Krzysztof Nowicki („Tygodnik Kulturalny" nr 5) podał nową receptę: „Idealna powieść, o której marzę, powinna się przeto składać z samych rzeczy wstydliwych, do których sami przed sobą przyznajemy się niechętnie, ze spraw chowanych w ukryciu, z drastycznych zakłopotań".

Smutno, bardzo smutno zrobiło mi się po przeczytaniu reportażu Lecha Borskiego „Marzenie Ewy" w nr 5 „Walki Młodych". Ewa marzy o karierze aktorskiej. Nie ona jedna w tym podwarszawskim mieście. W miejscowym liceum na 33 prace o bohaterze, aż w 21 pisano o aktorach i piosenkarzach. Gdy autor zapytał, czy dyrektora nie zaniepokoiła „monotonia wyboru", pedagog odrzekł z rozbrajającą naiwnością: „Przecież nie mają wielkiego wyboru. Minęły czasy Pstrowskich, a własnych kosmonautów nie mamy" — co przekazuję do przemyślenia Zarządowi Głównemu ZMS, którego organem jest „Walka Młodych".

Spółdzielnia Inwalidów „Spójnia" w Sanoku ogłosiła w kilku pismach, że dostarcza w tym roku „siedzenia i oparcia autobusowe, w tym typu de Luxe (lotniczego) wraz ze szkieletami". A niby po co te szkielety?

JOD

W drugiej połowie stycznia i z początkiem lutego jednym z najczęściej omawianych w prasie tematów była motoryzacja, a właściwie konieczność podjęcia produkcji nowoczesnego samochodu małolitrażowego na miejsce poczciwej, ale urodzonej z grzechami pierworodnymi „Syrenki". W chórze nie zabrakło i „Polityki" (nr 5). Andrzej Krzysztof Wróblewski uzasadnia konieczność takiej produkcji argumentami ideologicznymi, kulturotwórczymi, gospodarczymi, a wreszcie przytacza koronny argument, który chrzci mianem wewnątrzrodzinnego: „Samochodem własnym jeździ się z żoną i z dziećmi, z kochanką — taksówkami". W Kazimierzu i Nałęczowie można zobaczyć liczne od tej zasady wyjątki.

Polski Komitet Pomocy Społecznej i Wojewódzki Dom Kultury urządziły wspólnie na Zamku zabawę dla 200 dzieci. Zamek lubelski jest miejscem pamięci narodowej i opinia publiczna już dawno wyegzekwowała zakaz urządzania w nim zabaw. Wprawdzie ostatnią imprezą objęto tylko dzieci, jednakże i je przecież chcemy wychowywać w duchu tych samych ideałów, którymi żyją dorośli. Czy w Lublinie nie ma innych miejsc na zabawę dla dzieci? I do którego roku życia zabawa na Zamku nie jest profanacją pamięci ludzi, którzy tam zginęli, a od którego jest?

WIR

Odpowiedzi redakcji

A. D. M. w Gliwicach. Wiersze bardzo przeciętne. Moglibyśmy napisać, że jeszcze brak Panu doświadczenia poetyckiego, bo tak jest istotnie. Moglibyśmy zachęcić do przysłania następnej partii tekstów za czas jakiś, bo przypuszczamy, iż warto tego spróbować. Moglibyśmy wreszcie — po niezbyt krótkim okresie — wydrukować ten czy inny wiersz. Ale to wszystko „zabawa" długoterminowa i dla obu stron mało w końcu efektywna. Toteż radzimy co innego: skoro już się Pan „sprawdził" drukiem prozy beletrystycznej i reportażowej, to czy nie warto spróbować i u nas tych gatunków? Wbrew pozorom — niezłe opowiadanie jest łatwiej wydrukować niż taki sam wiersz. Redakcje bowiem „cierpią" na nadmiar poezji, czego o prozie powiedzieć nie można, przynajmniej gdyby szło o nasze doświadczenia. Pozdrawiamy.

W. Ł. w Pęzinie. Nie jest Pan autorem „nowym" w naszej praktyce redakcyjnej, w dodatku jest Pan autorem u nas publikowanym. Szkoda tylko, że nadesłał Pan mało tekstów do wyboru, albowiem z tych trzech nie bylibyśmy skłonni skorzystać — za wiele jałowego opisu w nich znaleźliśmy. To jedna sprawa. Druga — sądząc ze zmiany adresu, przestał Pan studiować i podjął pracę. Radzibyśmy czegoś bliższego dowiedzieć się na ten temat. A także czy próbował Pan drukować w innych czasopismach? Oczekujemy na informacje oraz na nowe wiersze, jeśli Panu cierpliwości nie zbraknie.

J. F. we Włodawie. Nie pamiętamy, co odpowiadaliśmy poprzednio, gdyż było to bardzo dawno. Nadesłane wiersze w zasadzie nadają się do publikacji (przynajmniej niektóre z nich). Może tylko za bardzo Pan zawierza pewnym współczesnym zabawom słownym, a za mało refleksji poznawczej, która powinna tętnić pod warstwą słowną i fabularną tekstu. Ale niezle to wszystko, ma atmosferą jednolitą, ton własny. Jednego tylko nie życzymy Panu — pozostania na dłużej przy tego rodzaju poezji, a coś nam się zdaje, że takie niebezpieczeństwo jest realne. Terminu publikacji określić — jak zwykle — nie potrafimy. Problematyka dialektologiczna mniej nas interesuje, bardziej natomiast szersze kwestie regionalnej kultury, do jakich ma Pan dostęp. Dla dobrego artykułu na ten temat zawsze znajdzie się u nas miejsce, tak samo i dla dobrego reportażu. Lecz ryzyko zawsze w takich przypadkach ponosi sam autor. Łączymy serdeczne pozdrowienia.

„WAD" w Głogowie. Bardzo naiwne są te wierszyki, infantylne bezgranicznie. Znać, że brak Ci doświadczeń — zarówno tzw. życiowych, jak i literackich. Temu pierwszemu my się za bardzo nie dziwimy ze względu na wiek młodociany. O to drugie warto by się jednak postarać — przynajmniej w skromnym zakresie — wychodząc poza kanon obowiązujących lektur szkolnych. A propos poprzedniej kwestii — piszesz: „Mam siedemnaście lat. Niestety, w miłości nie miałem dotąd szczęścia..." Odpowiadamy z całą powagą: zapewne będziesz miał jeszcze szczęście owo, więcej bowiem życia przed Tobą niż za Tobą. I jeszcze jedno — skoro zawsze planowałeś, że będziesz studiował politechnikę, to nie widzimy żadnych powodów, by decyzję tę odmieniać. Jest to nasze niewzruszalne i ostateczne przekonanie.

Z dziennikarskiego obowiązku, nie bez wewnętrznego smutku i rozterki, zawiadamiam o zejściu z ostatniej strony „Kameny" po pięciu latach twórczej i nietwórczej działalności autora „Big-beatu"

JACKA

Jego walkę z wiatrakami (i nie tylko) postaram się energicznie — dopóki sił i możliwości starczy — kontynuować.

Zatroskany

MAJ

z bocznej trybuny

Ważniejsze niż boks

SEZON 1970/71 przyniósł dwa sukcesy lubelskim bokserom. „Avia" wprowadziła swoją drużynę do I ligi, zaś „Motor" — do II ligi. Pięściarze naszego okręgu znów zaczynają się poważnie liczyć na arenie ogólnopolskiej.

Ostatni raz mieliśmy drużynę w I lidze blisko 20 lat temu — a był to Okręgowy Wojskowy Klub Sportowy. Jednakże OWKS, poza swym asem atutowym Henrykiem Kukierem i kilkoma innymi jeszcze nazwiskami, składał się głównie z zawodników zamiejscowych, którzy w Lublinie odbywali tylko służbę wojskową. Natomiast kadrę „Avii" w połowie tworzą wychowankowie tego klubu, w połowie zaś przybysze, którzy w Świdniku nie tylko uprawiają sport, lecz także uczą się i pracują. Związani są więc z miastem na stałe.

Kiedy mowa o pracy znanych sportowców, ludzie znacząco mrużą oko. Trenerzy „Avii" nie ukrywają, jak wygląda sprawa. Seniorzy trenują pięć razy w tygodniu, po trzy godziny lekcyjne, zaś w okresach walk pięć razy w tygodniu, dwa razy dziennie po trzy godziny. Praktycznie więc idą do pracy na pierwszą zmianę, a kiedy przychodzi pora treningu, odchodzą od warsztatu. Żadna tajemnica. Wie to cała załoga WSK. Wie, zgadza się i ponosi koszta. Od dawna oprocentowuje się dobrowolnie od swoich uposażeń i przeznacza pieniądze na utrzymanie klubu. Przy wymaganiach treningowych, jakie stawia współczesny sport zawodnikom wysokiego wyczynu, tylko wyjątki są w stanie pracować przez 8 godzin dziennie z pełną wydajnością. Świdniczanie do wyjątków nie należą i trudno mieć o to pretensję. Na uznanie zasługuje natomiast „Avia" za wykazywanie troski o przyszłość swoich sportowców. Większość zawodników uczy się. Klub angażuje nawet korepetytorów, gdy któryś chłopiec ma trudności w szkole. Ta pomoc niewątpliwie miała wpływ na to, że Dybała, Baranek, Rajchert i Kowalski mają dziś dyplomy techników. Obecnie sześciu seniorów uczęszcza do ostatniej klasy zasadniczej szkoły zawodowej — i jesienią chcą iść do technikum. Kilku kształci się w szkołach średnich. Zrozumiałe, że ucząc się i intensywnie trenując, nie są w stanie pracować tak jak inni. Nawet dziwne, że w ogóle udaje im się wygospodarować trochę czasu na stanie przy warsztacie czy siedzenie za biurkiem. Szczęściem żaden nie zdaje w bieżącym roku matury, bo ta, jak wiadomo, pochłania sporo czasu. No a wiadomo, że ten pierwszy rok w lidze będzie trudny. Zaaklimatyzować się wśród najsilniejszych drużyn kraju, utrzymać do następnego sezonu — oto zadanie jakie stawia sobie klub.

Trener „Avii", Zbigniew Cebulak, zęby zjadł na boksie. W roku 1949 na akademickich mistrzostwach świata w Budapeszcie przegrał tylko jedną walkę: w finale, z samym Laszlo Pappem — na punkty. Drugi trener, 38-letni Jerzy Kraszołon, wychowanek lubelskich klubów, pięciokrotnie był mistrzem województwa, uważano go za wielki talent, choć nigdy nie miał za wiele serca do walki, natomiast od wczesnej młodości wykazywał chęć uczenia pięściarstwa innych. Obaj przyznają, że sytuacja „Avii" nie jest lekka. Wprawdzie drużyny I ligi niezbyt przewyższają czołowe zespoły drugoligowe, które pokonała, lecz sukces ten okupiła najwyższym wysiłkiem. Od trzech miesięcy treningi odbywały się dwa razy dziennie. Część zawodników odczuwa przesyt boksu — a nie ma ich kim zastąpić. Seniorów jest 22. Statystycznie niby nieźle, lecz w jednych kategoriach wag jest po kilku, w innych zaledwie jeden. W dodatku niektórzy myślą o wycofaniu się w najbliższym czasie z czynnego uprawiania boksu. Do takich należy Kowalski. Choć jest w znakomitej formie — co zapewne zawdzięcza niezwykłej sumienności na treningach — często powtarza, że ma już 29 lat i czas mu porzucić ring. „Avia" ma najlepszych juniorów w województwie. Na treningi przychodzi około 60, z czego w kadrze klubowej jest 13, lecz są jeszcze za mało otrzaskani, by wystawiać ich do cięższych prób. W rezultacie więc główny ciężar spada na tych, którzy walczyli w ostatnim meczu, decydującym o wejściu do I ligi. Byli to: Andrachiewicz, Papież, Czyszczoń, Stańko, Petek, Karbowniczek, Kowalski, Sitkowski, Wołkiewicz i Wiater. Dojdą do nich jeszcze zapewne Komendarski (piórkowa), Dybała (lekkośrednia) i Marzec (półciężka). Być może, pewnej pomocy, w ramach wzajemności, udzieli „Motor", też mający nadwyżki w jednych wagach, a niedobory w innych. Na kogoś z zewnątrz „Avia" nie liczy.

Gdy niniejsze ukaże się w druku, czytelnicy znać będą już wyniki inauguracyjnego meczu w I lidze. Pisząc (kartka w kalendarzu mówi, że jest 22 stycznia) nie wiem jeszcze, kto obok „Avii", „Gwardii" Warszawa, „Gwardii" Łódź, „Hutnika" Nowa Huta i „Stali" Stalowa Wola, będzie szóstą drużyną w grupie „B": „Widzew" czy „Stoczniowiec"? Pewne jest, że świdniczanie zasłużyli na brawa. Uznanie będzie jednak pełne dopiero za rok — i to nie tylko w wypadku pozostania w lidze na następny sezon, lecz wtedy, gdy żaden z zawodników nie porzuci nauki i nie przestanie pracować, choćby w tym skromnym wymiarze, co dotychczas. Bowiem nawet dla bokserów powinny to być sprawy ważniejsze niż boks.

R. W.